

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LII

J. I. KRASZEWSKI

BANITA

CZASY BATOREGO

CZEŚĆ III



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.



I.

Ktoby był mógł zajrzeć w duszę Samuela, gdy się ze Złoczowa z braćmi rozjeżdżał, obiecując znowu wkrótce spotkać się z nimi, pomimo pozornej radości, jaką przybierał, ochoczego poruszenia się, pośpiechu, z jakim się miał brać do czynu, — odkryłby na dnie jej gorzki i głęboki smutek.

Życiem, bojem, szaleńcem wszelkim, nawet pogonią za nowymi wrażeniami i rozkoszami tak już był wyczerpany, znużony, iż mu nic nie smakowało, nic go nie zajmowało goręcej. Jedne może dzieci, syn Oleś, córka Anusia, — gdy z niemi był, lub o nich mówił, rozbudzali go, dbał o nie... reszta go nie obchodziła!

Nieprzyjaciół (kanclerz) o tyle go drażnił, że widział w nim chętkę wyzywania, a on słabszym być, ani się przyznać do tego nie chciał. Zresztą Zamojski mu był obojętny... ale przeszkadzał marszałkowi, nie lubił podczaszego, musiał więc być jego nieprzyjacielem.

Na to „polowanie na kanclerza“ jechał z uczuciem w istocie takim, jakby z sokołami i Borowskim na ptactwo lub z Boksickim na grubego zwierza. Najstraszniejszy nawet gniew w jednej potędze nie mógł u niego trwać długo.

Po drodze zaś *larum* ogromne czyniono jawnie, głośno wołając i wywołując, że Zborowski się wynosi do Włoch, a *ingratam patriam* rzuca na zawsze. Publicznie o tem mówił on sam, jego słudzy, rodzina i czyniono umyślnie demonstracje z przygotowaniami, aby ludzie w to uwierzyli.

Podróż też ta cała dla rozgłosu szła bardzo powol-

nie. Ze Złoczowa ze swym taborem zajechał Samuel do Glinian i tu stanął na noc, a dopiero 26 kwietnia odjechał do Lwowa. Tu czekały na niego wielkie interesa majątkowe, którym starano się nadać wielkie znaczenie i rozbębnić je... zawsze dla tego wyjazdu za granicę... *Ingrata patria* i t. d.

Cały kahał musiał długo stać w przedpokojach na zamku, nim się ułożono o powołowszczyznę w browarach, a potem o spław zboża do Gdańska, naostatek o dozór nad psy i myślistwem pańskim, które zostawiał po sobie. Przyczem wyprawiano na miasto głośno... wracali posłańce... na ulicach, kto chciał i nie chciał, wiedzieć musiał, iż Zborowski opuszcza kraj, że zmuszony jest do tego prześladowaniem i niewdzięcznością, że za jednym Zborowskim pójdą drudzy — a co potem pocznie Ruś bez Zborowskich?

Tu syn Oleś przyłączył się do ojca, co znaczyło wiele, bo zaraz wszystek dwór spowaźniał, surowość była większa; sam pan Samuel ubierał się, chodził, mówił przy nim inaczej i dbał daleko więcej, aby był ład około niego.

Dwór podróżny dosyć się złożył okazale; trzydzieści koni, dworzan szlacheckich, co przedniejszych, dalej komorników, pacholąt, pacholików, czeladzi różnej też tyle, kocznych wozów ze skrzyniami, namiotami szło dziesięć i t. p. Dwa wierzchowce wiedziono na powodzie. Oreża i strzelby dosyć było, ale mniej, niż zwyczajnie, gdyż jako niby do Włoch jechać miał, więc tyle tylko zabierał, ile między ludzi rozdać mógł, nie obciążając ich zbytnio. Kosztowności, prócz trochy futer, nie wioził z sobą żadnych.

Co chwila słyszeć go było można, powtarzającego tak, aby ludzie obcy się dowiedzieli:

— Do Włoch wyjeżdżam, syna w Niemczech dla nauki zostawię. Wracać do Polski nie mam zamiaru, chyba dlatego, abym królowi jegomości niewinność moją i domu naszego pokazał, jeżeli tego zajdzie potrzeba, a gdy król ją uzna, ufam, że nieprzyjaciele domu naszego będą poskromieni, a król pańskiemu swo-

jemu słowu zadość uczyni i ze mnie ten dekret zdejmie, *auctoritate et benignitate sua regia*, uspokajając. Ale, jeżeli około uszu królewskich zagłuszą pochlebników i złych ludzi hałasy i nie uzna niewinności, tedy ja już w Polsce czynić co nie mam. Jadę do pana imion tych, marszałka Andrzeja, brata i opiekuna mojego, temu dzieci i wszystko zleciwszy, co on postanowi, — uczynię.

Uważać należy, iż marszałka wymieniając, jako starszego i opiekuna, o Janie kasztelanie wcale nie wspominał.

Gdy trzeciego dnia wyjechał ze Lwowa i w Jaworowie nocował, pożegnawszy chorego Kamienieckiego, któremu życia już nie obiecywano, nadbiegł tu z listem od niego sługa. Kamieniecki dogorywający chciał się z nim widzieć jeszcze, aby mu odradzać jego imprezę.

Namyśliwszy się, Samuel wrócił do Lwowa, ale z małym pocztem, a cały tabor swój wyprawił z Jaworowa do Dubiecka i tam mu na siebie czekać kazał.

Powiadano, że Kamieniecki, który już napoty tylko był na tym świecie, a miał widzenia przyszłości, zaklinał go i prosił, ażeby zawrócił do domu i spokojnie siedział, nie chce li nałożyć głowę.

Tyle tylko, że się z tej przepowiedni naśmiał Samuel, chociaż umierającego pocieszać się tem starał, że w istocie do Włoch pociągnie. Kamieniecki w myśli jego czytał... zaklinał go znowu, wymóc słowo chciał, losem dzieci go pragnął zmiękczyć — i nic nie potrafił uczynić!

Pożegnawszy umierającego przyjaciela, tegoż dnia ruszył Samuel ze Lwowa i nocował dwie mile od Jaworowa, gdzie go zaskoczyła ciemność. Następnego dnia przyjechał do Jaworowa, gdzie trafił do pana Kostki na wesele, czy też przenosiny, na których obywatelstwa i szlachty zebrało się bardzo wiele.

Nie zważając na to, iż go tam widzieć będą, a potem powtarzać o tej podróży i o nim, jakby naumyślnie, zawsze dla nadania jej rozgłosu, pojechał nieproszony. Wdzięcznie czy nie, ale go przyjęto, bo właśnie

za stół siadać miano i dostało mu się miejsce obok podkomorzego Stanisławskiego.

Sąsiad spoglądał na niego z podziwieniem, jakby się zdumiewał, że tak go swobodnie obracającym się widzi, co już pana Samuela butę podrażniło.

Poczęli z sobą mówić, ale ciągle jakby z panewek im spała.

— Cóż tam, miłościwy panie Zborowski, — odezwał się Stanisławski — myślisz może i do Przemyśla zajechać? Czy waszmość nie czujesz i nie wiesz, co się dokoła niego dzieje?

Wziął to do siebie pan Samuel, jako przestrogę, ażeby się nie narażał, iż na niego czyhano i pochwyć go miano prawo, obraził się i odpałił:

— Jeżeli mnie wasza miłość nastraszyć myślisz, tedy wiedz, proszę, żeś na nieustraszonego trafił. Czego się mam bać? Nikomum nic nie winien, z nikim też nie mam nic do czynienia! Jeśli myślicie o dekreście króla Henryka... gdybym nie miał na to zezwolenia królewskiego, nie siedziałbym tu, bo z tego siedzenia pożytku nie mam żadnego, ino żal, patrząc na to, co spotyka mnie i dom mój za wierne i wielkie posługi, którem ja i familja moja czyniła...

Gorąco to wypowiedziawszy, umilkł, a Stanisławski też dyskursu o tem nie wznawiał. Zważał jednak Samuel wśród tego wielkiego tłoku, że ten i ów koso, a wielkimi oczyma spoglądał na niego, jakby się dziwował, iż go żywym i swobodnym widzi.

Pan Kostka też pytał go potem sam, w jakiej liczbie sług tu przybył; odpowiedział, śmiejąc się, że samotrzeć. Wszyscy więc, nie wyjmując gospodarza, poczęli mu czynić wyrzuty, że się nieopatrznie narażał.

— Albo li wasza miłość nie wiesz o tem, lub nie dbasz o to, że za nim wszędzie szpiegi chodzą i wypatrują, a to nie jest daremnem. Wieści słyszymy groźne, nie narażaj się!

Na to Zborowski otwarcie też odpowiedział, że się nie lęka, bo się do niczego nie poczuwa.

Było tak, że z kim mówił, każdy go tem witał i żegnał. Zrobiło mu się nieco kwaśno, ale w duchu rzekł:

— Wszystko ja to splcę razem...

Naostatek pan Kostka, który mu był życzliwym, a i za gościa go u siebie szacował, spytał:

— Dokądże stąd myślicie?

— Tabor mój i ludzi posłałem do Dubiecka; tam więc muszę.

— Samotrzcę? — rzekł Kostka.

— A no! — rozśmiał się Zborowski.

— Ja tego nie dopuszczę — odparł gospodarz. — Dam moich ludzi, aby przeprowadzili... Nie może inaczej być.

Następnego dnia, gdy tu wesoło przenocował, w istocie dano mu dosyć silny przewód na miejsce do Dubiecka.

Wszystko to winno było już przestrzec Samuela, że gdy on na kanclerza miał chrap i oko, na niego też kanclerz nie mniejsze. Co krok mu niemal szpiegów Zamojskiego, za nim chodzących, pokazywano, ale wierzyć w nich nie chciał.

W Dubiecku siostrzeniec, pan Jędrzej Stadnicki, z którym zawsze byli serdecznie, przyjmował go, a i ten mruczał, że na baczości się mieć było potrzeba, ale miał tę ufność w wuju, że on naprzód obmyślił, co czynił.

Ponieważ nie wydawano się z tem, iż zjazd był niedawno w Złoczowie i bracia o sobie wiedzieli. Zborowski, rozpytując się, dopiero tu się wrzekomo dowiedział, że marszałek Andrzej był w Sandomierzu, gdzie go doktor jakiś kapitalny wiosennem lekarstwem karmił i miał krew puszczać.

Zwykle też w początku roku oczyszczano się z zaległości, zepsutą jakoby krew, odlewano, ażeby przez cały rok potem bezpiecznie pić i zajadać.

Marszałek pojechał dokończyć ten właśnie rodzaj kuracji w Sandomierzu, pod dozorem lekarza.

Samuel, tu się dowiedziawszy lepiej o Zamojskim, a widząc, że kroki jego zanadto są znaczne i głośne,

zażył fortelu. Sam postanowił udać się do Sandomierza do marszałka, a sługę swego, Luzickiego, jawnie i ostentacyjnie stąd wyprawił ku Krakowu, sobie ludzi zostawując niewielu.

Cel pono był ten, aby rozdzielone oddziały, jeden z przodu, drugi z tyłu — mogły razem osaczyć kanclerza.

— Jedź przeto na Tarnów do Krakowa, — głośno w dziedzińcu rzekł do Luzickiego — gotuj dla mnie gospody, aby nam tam z Olesiem dobrze było. Gdy się pożegnamy ze wszystkimi, gotuj, co należy dla syna i dla mnie, ażebyśmy nie mieszkając wyruszyli na tę włoską peregrynację... Tymczasem ja muszę do Sandomierza do pana marszałka, bo jużbym go chyba nie widział.

Ale jak go zaczęli w Dubiecku Stadniccy i inni przyjmować, a dobra myśl się zawzięła, trudno było stąd ruszyć. Z Dubiecka zaprosił Marcin Stadnicki do Kostowej do siebie, tam spędzili dzień, stąd Strzyżowski wziął do Czudca, dalej musiał do Zgłobienia, pociągnęli go jeszcze do Mielca, aż naostatek siostrzeniec, Marcin Tarnowski, do Podleszan, do siebie zaciągnął.

Wszędzie nagłos nie mówiono o niczem innem, tylko o włoskiej podróży, o Włoszech, a Samuel coraz to jakieś słowo włoskie w rozmowie rzucił, śmiejąc się, jakby zawczasu do konwersacji z Włochami się zaprawiał.

Dopiero teraz wyrwać się mógł do Sandomierza.

Co z marszałkiem, zamknawszy się sam na sam, mówili, tego się domyslać można z umowy, zawartej w Złoczowie, ale przy Olesiu i publicznie wyglądało wszystko inaczej.

Marszałek młodszego brata, który mu się submiłował z wolą swoją, zaklinał, aby albo do Krakowa wcale nie jechał, lub w nim nie bawił, gdyż *vox publica* ufać nie każe kanclerzowi. Mogą umyślnie jaką zwadę tumult uczynić i znowu w niej pana Samuela albo

pochwycić, albo wmieszać, czy nareszcie posadzić i uwięzić.

Wiedzieli tu wszyscy o tem, że Zamojski będzie właśnie sądził swoje roki grodzkie, krakowskie i w Stężycy miał też być. Drudzy powiadali, że dla choroby żony miał powrócić do Knyszyna.

— Ja tam nie wiem, gdzie on jest, — mówił marszałek głośno — niechaj będzie, gdzie chce. O niego mi nie idzie, ale o waszmości...

Pan Samuel dotąd znajdował jeszcze wszystko w takim porządku, w jakim mieć sobie życzył; rachunki jego pozostawały niezmienione... Jedno się im tylko nie podobało wszystkim. Znany, jako czynny sługa Zamojskiego, niegdyś podstarości krakowski, Urowiecki, z mocnym oddziałem hajduków zjawił się nagle w Sandomierzu. W mieście szumu dosyć uczyniwszy, przenocował tylko i pociągnął, jak mówiono, do kanclerza.

To zjawienie się Urowieckiego, nieco podejrzanę, nie w smak było Samuelowi, bo, wedle jego informacji, Urowiecki miał być gdzie indziej.

To jego przyskoczenie do Sandomierza, właśnie, gdy tu gościł Samuel, dawało trochę do myślenia, ale ktoś usłużny wytłumaczył Zborowskiemu, że Urowiecki kręcił się dla własnej sprawy i dla niej śpieszył do Krakowa, mając zajście z Palczowskim burgrabią.

Otwarcie tedy przy gościach, gdy się rozmowa toczyła o kanclerzu i o podróży, a marszałek nalegał niby na brata, aby do Krakowa nie jechał, odparł Samuel:

— Ja w Krakowie bawić się nie myślę, ale być tam muszę, bo stamtąd się dopiero we włoską drogę wybiorę. Z panem kanclerzem my mamy wszakci pokój i ubezpieczenie.

Powtórzył to po kilkakroć i bardzo głośno, że na ten pokój rachował i trzymać go chciał.

Jakby naumyślnie dla tem lepszego okrycia dalszych zamysłów, trafiło się, że tegoż dnia przyszły listy od kasztelana gnieźnieńskiego, który o niczem nie wie-

dział, tylko o tem, co mu na dworze powiadano, aby się pozbyć jego nalegań.

Zapewniał w liście swoim Jan o przyrzeczeniu królewskiem, iż mogli być spokojni do sejmu konwokacyjnego i mieli czekać na ten sejm, gdzie król chciał rozsądzić sprawę tych plotek i listów przyniesionych przez Wojtaszka.

Osobnym listem prosił kasztelan Samuela, aby zaniechał podróży do Włoch, o której mu Domaszewski, sługa jego, wyprawiony do Gdańska, powiadał. Marszałkowi zalecał, aby od podróży tej odwodził i niepotrzebne obawy hamował.

Marszałek w tem jednak, nawet pozornie za radą Jana nie poszedł i od podróży włoskiej nie odwodził. Uradzili tylko, gdy na św. Jakób Samuela już tu nie było, aby mu znać dano, co się stanie z ich sprawą na konwokacji.

Wszystkie te rozmowy, sprzeczki, które po świecie iść miały, dla ludzi tylko się układały, gdyż Samuel cale czem innem był zajęty. Lecz musiał tymczasem szpiegów kanclerskich w błąd wprowadzić i o to mu chodziło.

Przy stole więc i przy dworze szeroko o tem rozmawiano, aby lepiej Kraków ominąć, z panem żupnikiem w Wieliczce się rozmówić, do Spytkowic jechać niedaleko miasta, gdzieby się wszystko dało do podróży przysposobić, a bodaj w Krakowie koniom dać wytchnąć i zaraz jechać dalej, nie budząc licha...

Pan Samuel się niby upierał przy tem, aby koniecznie być w Krakowie, a tymczasem czekał tu wiadomości o kanclerzu, którego podróż postanowiona, niezupełnie tak się składała, jak przewidywano.

W Sandomierzu niewiele sprawiwszy, bo pewnego języka dostać nie mógł, a Boksicki coraz to inne bałamutne przynosił powieści, wyjechał tymczasowo Samuel z Sandomierza do Połańca.

Wietrzono wszędzie ślady Zamojskiego, ale dzięki niewiernemu Boksickiemu, nic nie można było postanowić, bo wiadomości przychodziły sprzeczne.

W istocie zaś kanclerz naówczas był w Opatowie, ale Samuel nie miał pewności, stąd zaś jechał do Szydłowa i do Wiślicy. Chociaż Boksicki motał i płatał, dowiedział się o tem Samuel i ażeby się zbliżyć, zawrócił do Stobnicy.

Ale tu ugrzązł, bo zdrajca Boksicki fałszywemi uwodził wiadomościami. Zawahał się Samuel.

Słudzy i dwór marszałka, który mu tu towarzyszył, musiał go opuścić, gdyż marszałek ukończył leki i na trybunał śpieszył w sprawie swej z urzędem Nowego Miasta Korczyna.

Nadbiegł tu sługa marszałka z listem, w którym donosił, że czasu pobytu w Sandomierzu na pewno tam wytropiono szpiega kanclerza, który bodaj z jednym ze sług bliskich pana Samuela miał konszachty.

Był to ów brat Boksickiego, o którym mówiliśmy.

Boksicki dotąd najmniejszego na sobie nie miał podejrzenia, więc ani pomyślał Samuel, ażeby go się to tyczyć mogło; powiedział mu nawet o tem i zdziwił się, widząc, jak trupa bladością okryła się twarz winowajcy, który bełkotał, straciwszy przytomność.

Wcale to Zborowskiego nie naprowadziło na myśl, żeby Boksicki mógł zdradzić. Szukał tego niegodziwca gdzie indziej.

Wylękł Boksicki już tylko myślał, jak siebie ratować.

Samuel straszliwie był rozjuszony tem, że mu wszystkie plany krzyżowano i napaść na hetmana, którą jak najprędzej chciał wykonać, zmuszony był odłożyć, a co gorzej, puścić go pod Kraków, gdzie on na pilniejszy dozór i pomoc rychlejszą mógł rachować.

Widocznem już było, że śledzono Samuela, że o nim i jego siłach wiedzano doskonale i że, mimo rozgłoszonej do Włoch podróży, domyślano się istotnych powodów tego ciągnięcia ku Krakowu wślad za kanclerzem, zawsze w niewielkiem od niego oddaleniu.

Boksicki tak ze strachu stracił przytomność, że nie

wiedział i nie umiał ani radzić, ani się tłumaczyć, ani na przyszłość coś obmyśleć.

Wypadało znowu dostać pewniejszego języka o obrotach dalszych kanclerza, ale na to w Stobnicy siedząc, czekać nie zdało się.

Marszałek listem wskazywał swój Zborów i prosił, aby Samuel, zajechawszy tam, kilka dni sobie wypoczął, nim o dalszej podróży coś postanowi.

Na zdrajcy skóra cierpła tymczasem; pod pozorem, iż potrzebuje dostać języka, wyprosił się, zamiast do Zborowa, niby do Opatowa, a w istocie potajemnie myślał dobiec albo do Szydłowa, lub do Wiślicy i tam się z bratem Parżnickim naradzić.

Dłużej mieć fałszywemi doniesieniami stawało się coraz trudniej, bo Samuela z innych źródeł o kanclerzu dochodziły wiadomości. Boksickiemu stawało się tu coraz ciśniej i duszniej.

Dzięki łatwowierności, albo raczej ufności, jaką Samuel miał nawet dla tych, którzy na nie nie zasługiwali, Boksicki dotąd wyszedł cało, lecz zemsta mogła być straszną i spaść jak piorun.

Pomimo tych przeciwności i zawad, Samuel przybył do Zborowa z dobrą myślą, wesół i pewien jeszcze swego. Zdawało mu się, że pośpieszy zawsze w porę, aby choć pod samym Krakowem, bodaj w Proszowicach, ułapić Zamojskiego.

Na te Proszowice teraz najwięcej rachował, ale Boksickiemu postanowił zawczasu nie mówić o tem, nie żeby nie ufał mu, ale że języka długiego się lękał. Nie zdradzie, ale paplaninie przypisywał to, że mu się dotąd tak nie wiodło, że go odgadywano zawczasu i stawiono mu zawady.

Zaledwie stanął w Zborowie, gdy list za listem już gnał, donosząc, że po całej drodze, gdziekolwiek się pan Samuel zatrzymał, popasał, gdzie przejechał, to szpiegów i ludzi kanclerza, jakby porozstawianych widziano. Marszałek ostrzegał pilno.

Gra zaczynała być nierówną i pan Samuel dopiero

teraz zrozumiał, że nadto lekko brał bardzo trudne zadanie. Wszędzie go wyprzedzano.

W Zborowie sam jeden pozostawszy z synem, z którym mówić nie mógł o tem, co go zajmowało, niecierpliwił się do najwyższego stopnia, wyglądając powrotu Boksickiego.

Zdrajca zaś, do brata się dostawszy, opowiedział mu, jak rzeczy stoją i że lada godzina może się wydać wszystko. Parżnicki go natychmiast do Mrocza zaprowadził i tym razem wmówili w niego, ażeby nie wracał do pana.

— To się domyśli, że winien! — zawołał Boksicki. — A tam jeszcze u niego mam cokolwiek mienia.

— Siedź spokojnie — rzekł Mroczek — pod ten czas, gdy jednego człeka zabraknie, dziwu nie będzie. Pomyśli, że padłeś ofiarą dla niego. My cię już nie puścimy, gotówbyś się wygadać i popsuć nam, a pomieszać szyki.

Tak więc Boksickiego nawpół siłą przytrzymali, nie dając mu już powracać, a Samuel, dni kilka próżno na niego czekając, wpadł na tę myśl, że mu go pewnie zabito, aby prawej ręki pozbawić.

Zmęczony i już znudzony tem przeciągnięciem sprawy, którą chciał jak najprędzej doprowadzić do końca, pan Samuel się rozbudził i odżywił tą nową przeciwnością.

— Nie jeden Boksicki w świecie, — rzekł w duchu — wezmę na jego miejsce Borowskiego.

Borowskiego tego, wielce sprawnego, zwłaszcza do myślistwa z sokołami, które Samuel lubił bardzo, kochał, można powiedzieć; Zborowski pieścił go, wychwalał, ale ten, jak był doskonały do noszenia ptaków i do układania psów, tak się więcej do niczego nie zdał, a Zborowskiemu zdało się, że kto do tego ma talenta, musi mieć do wszystkiego.

Borowski był miękki a potakujący. Samuel go inaczej nie zwał, jak:

— Borosio mój!

A sługa nazywał pana:

— Król mój i pan mój!

Rozumie się że i w tej sprawie Zborowski nie miał dla niego tajemnic. Gdy Boksickiego nie stało, otworzył mu się nagle.

— Ty mi go zastąpisz... Borosiu; rzuć do kaduka sokoły, a pilnuj ludzi i radźmy. Trzeba śpieszyć, aby drogę zapobiec kanclerzowi, inaczej się nam wymknie, a raz w Krakowie, — nie dostąpimy już do niego.

— Żeby my jego nie dogonili! — zawołał Borowski, z wielką gorącością i gotowością biorąc się do dzieła. — Rozkazujcie... Ludzie zaraz na koń, noc czy dzień, wszystko jedno... Padnie szkapa na drodze... bierz ją licho. My go wyprzedzim i gdzie rozkażecie, tam zaskoczmy.

— Ale nagwałt — języka! języka! — wołał Zborowski. — Zostaliśmy bez wieści... na plotkach! Nie wiemy na pewno, czy w Szydłowie jest, czy w Wiślicy, gdzie noclegi... czy wprost stamtąd pojechał do Proszowic? Ślij po języka!

— Kogo?

Nastąpiła narada. Ochotników nie brakło. Borowski rozpoczął swą czynność z nadzwyczajną gorliwością, ale z lekkomyślnością jej równą. Samuel szczęśliwym był, że zdał troskę na niego, a z siebie ją zrzucił.

Temperamentem, nie rozumowaniem fatalista, spuszczał się zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności, który go uwalniał od wczesnych zabiegów i starań, i choć w życiu nieszczególnie mu się wiodło, trzymał się mimowoli swego obyczaju. Z pomocą więc Borosia wszystko pójść musiało pomyślnie. Jak?

— Da się to widzieć, — mówił sobie Samuel — poco sobie zawczasu głowę nad tem łamać!

Szło zatem dalej tym samym porządkiem, co wprzód. Zborowski jadł, pił i spoczywał w Zborowie, oczekując pewnych wiadomości o kanclerzu: rozmawiał ze swoim Olesiem, którego rozumem i statkiem bardzo się cieszył i był dumny. Strzelał do celu, chodził do swoich sokołów, wzywał Borosia na porady, które się koń-

czyły śmiechami i był pewien, że kanclerz mu sam w ręce wpadnie.

Wyprawieni za językiem przez Borowskiego najsprawnijści ze szlachty dworskiej przynieśli wiadomość, że Zamojski się znajdował w Wiślicy i że stamtąd bez pośpiechu podążał prawdopodobnie do Proszowic. A zatem Zborowski miał ciągnąć za nim i tu gdzieś jakoś drogę mu zaskoczyć tak, aby przodem wysłany z głównym oddziałem Luzicki z jednej strony, a pan Samuel sam z drugiej — na dwór lub gospodę, w której go miano napaść, rzucili się jednocześnie.

Zdawało się to tak prostem i łatwem, jak przekłnięcie haustu dobrego wina.

Co do orszaku i siły, jaką miał przy sobie kanclerz, pozostawały wątpliwości, ale te Samuel na korzyść własną zgóry rozstrzygał.

Posłańcy donosili, że mniej więcej mogło być z Zamojskim około stu koni, niektórzy nawet utrzymywali więcej, natomiast jeden pochlebca mówił, że się i sześćdziesiąt nie doliczył. Samuel mu to pochwalał i z nim trzymał, dowodząc, że hetman nigdy zbyt wielkiej kupy z sobą nie prowadził.

Dawało tylko do myślenia, iż na czele tych ludzi byli tacy drapieżnicy znani, jak Urowiecki, Mroczek i Serny, a oprócz tego młody pokrewny kanclerza, Stanisław Żółkiewski, nie licząc pomniejszych rotmistrzów i różnych stopni wojskowych, którzy z nim się znajdowali.

Zborowski się tem łudził, że ich wszystkich miał wziąć niespodzianie i że jego pochod nieporządny, błędny nie dozwalał się domyślać, dokąd zmierzał, a szpiegi, co go otaczały i donosiły o nim, odgadnąć nie mogły, co zamierzał.

Słowem, szczęśliwy zawsze i rad z siebie Samuel nie widział dotąd nic chybnem i końca się spodziewał pomyślnego.

Co chwila niemal przynoszono mu języka, który potwierdzał to, że kanclerz zwolna, bezpiecznie posuwał się ku Proszowicom. Rozmysłano tylko, czy tu

można go było zaskoczyć, czy między Proszowicami a Krakowem.

Borosio godził się na wszystko, co Samuel obmyślił, a ten nie stanowił nic jeszcze pewnego, wyczekując, jak się dalej składać będzie.

Nieopatrzność Zborowskiego równała się jego męstwu; do porady nie miał nikogo, można więc już było przewidzieć, że dopuściwszy Zamojskiego do Proszowic, da mu dojechać i do Krakowa.

Jeszcze się wybierano dopiero w dalszy pochód ku Stogniewicom, skąd Zborowski we czterdzieści koni projektował ostatecznie rzucić się na Proszowice, gdy nadbiegł najpewniejszy język, człowiek, na którego i Borosio, i pan liczyli najwięcej.

Był to stary, posiwiały na posługach rodziny szlachcie, Drużyna, milczący zwykle i smutny zawsze, poważny, ale z natury pesymista, który skłonny był widzieć wszystko raczej czarno, niż jasno. Na niego więc można się było spuścić.

Drużyna, który orszak kanclerza na swe oczy widział i liczył po drodze z Wiślicy do Proszowic, zaręczał, że było więcej, niż sto koni i że za tym oddziałem miał postępować drugi mniejszy w tylnej straży. Jednym z nich dowodził Stanisław Żółkiewski, drugim Urowiecki, a oprócz nich było kilku najdzielniejszych rotmistrzów i uzbrojenie, jakby na wyprawę przeciwko Moskwie.

Drużyna nie radził Samuelowi, chociażby nawet udało się niespodzianie zaskoczyć, rzucić się na siłę większą, czujną i mającą kilku dzielnych dowódców. Miejscowości też, według niego, nie nadawały się do napaści, a sprzyjały obronie, tak, że nawet z orszakiem mniejszym oprzeć się było można, a zdobyć gospodę, czy dwór, trudno.

Stary sługa, wzdychając, powiadał, że daleko dogodniej było wprzód na drodze najść na Zamojskiego, gdy przy nim Urowieckiego jeszcze nie było.

Zamyślił się Zborowski; przykro mu było, że wszyst-

ko speliło na niczem jego winą, choć się do winy nie przyznawał nawet przed samym sobą.

— Co to zawczasu przesądzać, — odparł markotnie Drużynie — idźmy my szybkim krokiem wprost do Piekar, aby wyprzedzić kanclerza, a tam znajdziemy środki i dostaniemy języka... Stadnicki ma tam czekać... Z Piekar pewnie będziemy mogli nocą rzucić się. Ja mam najlepszą nadzieję! — Co ty mi mówisz o stu ludziach! Naprzód ja w nich nie wierzę, tobie się starem w oczach dwoi... powtóre, co mnie i moim znać stę ludzi! My na Niżu, przypomnijno sobie, we dwudziestu czy trzydziestu szliśmy na Turków tysiące i wyszli ręką obronną, a pogan natłukli. Moich ichmość panów trzydzieści — nie oddałbym za jego półtorasta.

Uśmiechnął się i węża pokręcił, poklepał po ramieniu Drużynę.

— Jakoś to będzie! — rzekł. — Tylko teraz żywo, konie siodłać i w drogę najprostszemi ścieżynami, co prędzej do Piekar! do Piekar!...

Odprawiony stary sługa poglądził siwego węża, odchodząc.

— A co? — zapytał go w sieni Borowski, który przy naradzie nie był przytomny — a co?

— Nic, — rzekł Drużyna — idziemy śpieszno do Piekar... do pani Włodkowej (usta mu się skrzywiły smutnym uśmiechem), a tam pan nasz postanowi, co dalej.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Jak się ci zda? — spytał Borosio, który w duchu był przeciwnym całej tej imprezie. — Jak ci się zda? co będzie?

Drużyna milczał.

— A co ma być — szepnął po długim milczeniu. — W Piekarach pani Włodkowa, piwnica dobra, kuchnia też... dziewczęta wesole... naszemu panu, jak u Boga za piecem, to i nacóż więcej?... A kanclerz niechaj sobie z Bogiem na roczki do Krakowa pośpieszał

Śmiejąc się, ruszyli ramionami.

— Tylko to bieda — dodał, smutniejąc, Drużyna — jeśli my jego nie weźmiemy, on nas może pochwycić, a naszemu panu... pod banicją...

Potrząsnął głową i nie dokończył.

Głos Borowskiego już się rozlegał:

— Żywo na koń! do Piekar! żywo, żywo!

II.

Gdy Zborowski błakał się tak, odkazując i spuszcza-
jąc na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kanc-
lerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie,
nie zbacząc wcale z raz postanowionej drogi. Miał
przy sobie orszak z panem Stanisławem Żółkiewskim
bardzo dostateczny i takich ludzi, jak energiczny Uro-
wiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony
Serny.

Wszystko, co bracia pomiędzy sobą postanowili
w Złoczowie, co marszałek potem z Samuelem radził
w Sandomierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego lu-
dzi, a zdradzie Boksickiego, było wiadomem kancle-
rzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej
się go nie lękając, ale Zamojski był do najwyższego
stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski,
starosta przemyski, należący do przyjaciół kancle-
rza. Znalazł go wprawdzie o siebie spokojnym, ale zu-
chwalstwem banity, do najwyższego stopnia porusz-
onym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na dro-
dze, środkach, jakie ku temu obmyślano, Zamojski jak
najdokładniej był poświadomionym. Oburzało go i to,
że rodzeni bracia, sami stojąc zdaleka, popychali lek-
komyślnego Samuela na zgubę, na ważenie gardła, za-
bezpieczywszy się, aby o współnictwo z nim posądze-
ni nie byli.

O wszystkim tem wysłał był Zamojski listy do
króla, pytając Stefana, jak miał postąpić: czy puścić

plazem ten zamach, który musiał spełznąć na niczem, czy banitę pochwycić, ku czemu pod Krakowem, w jurysdykcji kanclerza nadawała się zrzeczność. Ale raz pochwyciwszy skazanego na banicję, potrzeba było, wedle rygoru prawa, karać go śmiercią.

Rozdrażnienie w kraju przeciwko królowi i Zamojskiemu, z powodu surowości ich w sprawie Ościka i w innych wielu pomniejszych wypadkach, było wielkie. Pomnażali i je wyzyskiwali stronnicy pozostali cesarza, mnożąc malkontentów. Rakuskie talary płynęły potrosze od Śląska, w którym było gniazdo intryg, przeciwko Batoremu wymierzonych. Nie zdawało się więc Zamojskiemu politycznem sprawą Zborowskiego rozdmuchiwać ognia i przyczyniać sobie trudności.

W tym sensie kanclerz pisał do króla i dopraszał się jego rozkazów, których co chwila oczekiwał. Sam on był za tem, aby dać tylko poznać Zborowskiemu, iż ich nawskroś znano i wszystkie zamiary nie były tajemnicą, a sprawę zdrady ich wniesć na sejm konwokacyjny, pozwalając ujść Samuelowi, który w istocie mógł jechać do Włoch i nie śmiałyby już powrócić.

Bracia zaś jego bez tej szalonej ręki głowami przebiegłemi nic nie mogli uczynić. Marszałek-by się nie ważył, a Krzychnik musiałby z obawy o gardło uchodzić także pod opiekę cesarza Rudolfa.

Wszystko się więc mogło skończyć, wrażając grozę, a nie wymagając srogości, której oprócz tego potrzebowano zażywać ciągle, a kraj do niej nie był nawykły.

Za Zygmunta Augusta nie znano jej wcale, mniej jeszcze obawiano się za Henryka, teraz więc nagła surowość i nieubłagane wykonanie prawa musiało do najwyższego stopnia przeciwko królowi i hetmanowi zniechęcać.

Wiele przypisywano Węgrowi i Wilczym zębom jego, ale też Zamojski, prawa ręka, ulubieniec, kierownik, obwinionym był, że podsycił tę surowość, nakłaniał do niej i był duszą wszystkiego. Szło więc Zamojskiemu o to, aby sprawa Zborowskich na niego nie spadła.

Na wyjeździe z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory był jak najdokładniej zawiadomiony o knowaniach Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszystkim, co się przeciwko niemu w Polsce poruszało. Miarę tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy, na których przeciwko królowi z zuchwalstwem dla Batorego niesłychanem i nieznośnem wykrzykiwano, nie szczędząc mu najprzykrzejszych i najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłym rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiało ją w oczach jego na czele malkontentów.

Śmiała wyprawa na Niż do Kozaków, którą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie była zapomnianą Samuelowi; listy przez Wojtaszka przyniesione, czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego do najwyższego stopnia króla rozgniewała i rozjątrzyła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nietylko że nie zdał się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego podejrzenie o słabość i obawę. Cienia dwojga tego nie mógł na sobie znieść Batory. Wolał stokroć uchodzić za okrutnika, niż za tchórza.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłaganą surowością. Król życzył sobie i rozkazywał, aby pochwycić banitę i nie przepuścić mu. Powinien był dać głowę i na tem musiało się raz skończyć wszystko.

Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważał za jedyny skuteczny środek, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

„Niechaj bronią swobód swych, których ja ukrócać, ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie

zgubią i mnie razem, a ja winien będę, żem pobłażał. Nie mogę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi. O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy poświadczają, wina ich dotykalna dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan gnieźnieński uznał, że pismo było własnoręczne brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białem: „Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb; trafię kanclerza między oczy, jedno wolę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy niedobrze, do Węgier djabła się godzi, najlepiej do Morawy“ i t. d.

„Czytaj wasza mość wszystkie ich listy — pisał król dalej — winni są, ani się oczyścić mogą. Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje; powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując. Powtarzam, com raz rzekł, *„mortuus canis non morderet“*. Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnie li głowa winowajcy, ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczymy nikomu.

Wiem o tem, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podniesie, lecz znasz wasza mość polskie piwo... niedługo to potrwał“

Pismo króla całe było w tym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwałego wtargnięcia w jurysdykcję starosty krakowskiego nie przebaczyć, tem bardziej, iż go Zamojski ostrzegał wielokroć, by jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Przypominał teraz sam kanclerz, iż gdy po wyprawie na Wielkie Łuki król go mianował krakowskim starostą, on, wiedząc, że za jego poprzedników Samuel wywołany z Korony i Litwy bawił bezkarnie i przemieszkiwał w Krakowie, zaraz z tem głośno się dał

słyszeć, że on wszelkiego prawa pilno strzec i wykonywać je będzie, a w swej jurysdykcji banity nie ścierpi na żaden sposób.

Zaczem przez marszałka koronnego i poprzyjaźnionego z kasztelanem gnieźnieńskim, Janem Zborowskim, przestrzegał i upominał Samuela, ażeby, dopóki banicja z niego nie będzie zdjeta, nie pokazywał się ani w Krakowie, ani w jego jurysdykcji, gdyż prawu uczyni zadość i pobłażać nie będzie.

Na to kasztelan gnieźnieński miał odpowiedzieć, że o tem słyszeć nie chce, oburzył się i dodał:

— W mocy go swej nie ma, poco te groźby próżne!

Nastąpiła wyprawa pskowska, a starostę pod ten czas zastępował z ramienia kanclerzaznaczony Plaza, starosta lubaczowski, jako *surrogator* (zastępca). Z tego korzystał Samuel i na nic nie zważając, mieszkał w Krakowie, bywał nawet na zamku, czynił, co mu się spodobało, tak dalece zuchwale, że i on, i ludzie jego po ulicach strzelali. Dochodziło to Zamojskiego, ale zdala będąc, nie mógł nic począć.

Gdy potem po sejmie przyjechał do Krakowa kanclerz razem z królem, nie miał też czasu zająć się tą sprawą, bo właśnie Turek i Tatarzy zagrażali i podawszy warunki, których przyjąć nie było można, obiecywali się wtargnąć. Zaczem Zamojski nagwałt ludzi musiał zbierać i na granicę bieżyć, aby nie dopuścić najścia. Ta czujność jego zachowała kraj od wojny.

Tymczasem, korzystając z wyjazdu Zamojskiego na granicę, pan Samuel natychmiast do Krakowa powrócił, o czem hetmanowi dano znać w drodze, ale ścierpieć to musiał, choć i dla króla rościł stąd niebezpieczeństwo, bo pamiętano, że się z panem Ciołkiem zmałwał w mieście do niego strzelać.

Pan marszałek, Andrzej Zborowski, przeczuwając, iż brat był w niebezpieczeństwie, zapragnął mu zapobiec i posłał z Lublina do kanclerza z prośbą, aby na niego w Rzeszowie czekał dla widzenia się i rozmowy. Zamojski, nie mając czasu, ruszył jednak do Łańcuta, i tu go pan Andrzej napędził.

Poczęli mówić o sprawach familji i o panu Samuelu. Prosił za nim marszałek, kanclerz okazał się łagodnym.

— Szeroka Polska, — rzekł — niech w moją jurysdykcję nie wjeżdża, ja go gdzie indziej szukać nie będę.

Napomniał o to marszałka, aby brata przestrzegł surowo i wzbronił mu pokazywać się w Krakowie.

Marszałek przy tej zręczności prosił kanclerza o *bona officia*, aby u Tęczyńskich i pani Wapowskiej, i u króla wyjednał zdjęcie banicji z jego brata. Obiecał Zamojski o tem mówić z Tęczyńskimi.

Później nieco, gdy kanclerz do Lwowa przybył, dowiedział się, że pan Samuel przyjechał tu także z Krakowa i stanął na przedmieściu. Nie chcąc się ścierać z nim, posłał Zamojski z przestrogą, aby wyjeżdżał, bo go tu obok siebie ścierpieć nie może.

Nim się to stało, pan Samuel, już przewidując, że Zamojski będzie mu czynił trudności, posłał od siebie po Kazimierskiego szlachcica, starszego sługę kanclerza, który wprzód służywał u marszałka Zborowskiego, i powiedział mu:

— Proś wasza mość kanclerza, aby mi za złe nie miał tego, iż mnie tu noc zaskoczyła i spędzić ją muszę we Lwowie, jutro o świtaniu jadę stąd precz.

Zamojski, do którego i Andrzej przyszedł się wstawić, ofiarując się nawet z Samuelem przeciwko Tatarom iść, odparł, że przez noc tę jedną cierpieć go będzie, ale nazajutrz jechać musi.

— Co się tyczy Tatarów — rzekł dwuznacznie — przyjdzie li do potrzeby, będę wiedział, jak go mam użyć i jak obrócić, zachowując się *more majorum*.

I to pamiętnem było, że czasu wesela swego Zamojski z panami Tęczyńskimi mówił w sprawie Samuela i starał się ich do zgody nakłonić. Tymczasem przysły listy Wojtaszkowe, a za niemi gniew królewski, którego już nic przebłagać nie mogło.

Od króla odebrawszy wyrok ten, kanclerz, chociaż nie był na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojowskiemu i mówił z nim o tem.

Nie pozostawało już nic nad to, że musiał woleć królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkim informował jak najdokładniej, ująć go było potrzeba. Zatem szło następstwo nieuchronne — wyrok się sam pisał na banitę — czekała go śmierć!

— Że Samuel na nią zasłużył, — mówił kanclerz — to nie ulega żadnej wątpliwości. Pominąwszy Wapowskiego, którego ubił w pasji, co jeszcze zmniejsza winę, zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych nie policzyć! Świat cały wie o tem i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie. Ale mimo to śmierć Samuela będzie też wyrokiem zemsty i nienawiści na króla i na mnie. Nieprzyjaciele nasi ją wyzyszczą!

Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już dobroć tylko uzuchwalała i że nad nią dalej nic uczynić nie było można. Dla dobra więc Rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mrocza, z których ostatni o wszystkich obrotach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżał, aby go ująć.

Ukazał im obu list króla, użalając się na los swój, iż mu taki ciężki do spełnienia przypadał obowiązek.

— Miłościwy panie! — przerwał Mroczek. — Nie ma co namyślać się. Jedno z dwojga, albo my się na to narazimy, że oni na nas napadną, i choć się obronimy, co już pewne, — ale godność wasza narażoną będzie w takiej walce z ladajakim wywołańcem; albo musimy go uprzedzić — co jest łatwiejsze.

— Jakże łatwiejsze? — zapytał hetman. — Gdzie on jest?

— Do Piekara ciągnie w tej myśli, że nas w Proszowicach ze dwu stron zajdzie, bo ma dwa oddziały, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łozu miłość waży rozsiekać każe. Cze-

kać więc na to, aż się porwie, — niedobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z panem Stanisławem Żółkiewskim i panem Urowieckim na dwór w Piekarach poszli, gdzie go pewniej w łóżu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej najdziemy, niż on nas w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł:

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić, — nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiek bądź, ale nie w Piekarach zdaje mi się.

Mroczek stał przy swoim.

— Gdzie indziej nie może być — rzekł. — Wymknąćby się nam mógł i wyrabac, bo mu to przyznać muszę, iż mężny jest i gdy raz do boju przyjdzie, niełatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować, a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jął za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił — rzekł. — Niech miłość wasza zda wszystko na niego. Ja się też ofiaruję z pomocą.

*Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały nawpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, pan Stanisław Żółkiewski, i przystąpił z poszanowaniem, całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom towarzyszył — odezwał się. — Idzie tu o zdrowie i żywot wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy; ani się godzi go na wagę kłaść pospołu z życiem banity takiego, o którego postępках słuchając, uszy wiedną, a obcy ludzie zdumiewają się im, pytając, jaka to jest ta Rzeczpospolita nasza, w której zbrodzień podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt nie śmie spełnić ino dlatego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszystko to prawda, — odezwał się kanclerz — wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy

przychodzi krew ludzką przelać, nie na wojnie, ale wśród pokoju, ręką katowską... wzdryga się dusza!

— Zaprawdę — odparł Żółkiewski. — Ani starostą, ani sędzią miłości waszej być nie przystało, bo lekając się krwi przelewu, dozwolicie, aby bezkarnie tacy ludzie, jak Samuel, przelewali krew niewinną.

— Nie czyniże mi z tego zarzutu, — rzekł Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o *modus*, jakim go ująć należy. Wstrętny mi jest wszelki pozór gwałtu, a tego nie unikniemy, nawet biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki, bardzo śmiały człek, dodał:

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie, aby ośmielony — Kraków nawiedził, co on niechybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię! — odparł Zamojski.

— A no, Piekary są tak dobrze waszą jurysdykcją, jak i Kraków; więc, gdy wiemy tam o nim, — rzekł Żółkiewski — imać go mamy obowiązek.

— A jeśli napadu dokonawszy — odezwał się Zamojski — przy porze nocnej i nieznamomości miejsca, winowajcy nie weźmiecie, co łatwo stać się może, jeżeli on się wam wyśliźnie, napróżno tylko kobiety i dzieci, jak zbójcy, nastraszyacie. Pójdą wówczas skargi, iż go tam, jako żywo, nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spokojny dwór wdowi po nocy najeżdżając! Choćby i staroście krakowskiemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę, — wtrącił Mroczek — że go tam weźmiemy. Naprzód co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze, a nie zmienił się wcale. Co się tyczy obrotów Samuelowych, wiem też najpewniej, że uradzono pośpiesznie, nam zabiegając drogę, bieżeć do Piekar, gdzie na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas, tego nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela, sądziłbym, że przybywszy do Włodkowej, wczasu zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadłszy, jał list króla na

nowo odczytywać, jakby się pragnął przez to w swem postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, nie wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek, korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kancelerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój — rzekł Żółkiewski. — Rad będę szablą moją służyć kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek, ale podczas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia, wzdychając a pomrukując:

— *Dura lex! Dura lex!*

Widać było, że tylko zmuszony listem króla Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do decyzji, że Mroczek i Urowiecki zapewniali, że jeśliby hetman nie kazał ująć Zborowskiego, on niechybnie napaść swą na niego dokona.

Wcale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Niemilem mu było narazić się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie ustępstwa i tłumaczenia, jakie stąd wyniknąć inusiały.

Nie mógł więc już wahać się dłużej. *Dura lex* nakazywała ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedziano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie, Zborowski umyślnie się zbliżył do niego, do Stobnicy biegnąc, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił, zostały mu Piekary, z których na Proszowice miał się rzucić, nie obrachowawszy się z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić, gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecz nie była skończoną, ale gdziekolwiek bądź, przy pierwszej podanej zręczności

odnowić się mogła. Raz więc temu koniec położyć było trzeba.

Zamojski, który, jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował, znał jednak ważność jego i w chwili, gdy już miał wydać rozkazy, zawahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnem obozowem łożu jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Helman zwykł się być przed tym obrazem modlić gdy miał stoczyć bitwę.

I teraz czuł dobrze, że walkę rozpoczynał nie tylko z rodziną jedną, mnogiemu węzłami związaną, z wielu innemi po całym kraju rozsianemi, ale ze stronnictwem, choć słabem, zato ruchawem, krzykliwem, popieranem z zagranicy, wyzyskiwanem przez wszystkich nieprzyjaciół Batorego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długą, i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z wielkim kniazem moskiewskim końca i rozejmu nie było. Turek groził, a cesarz intrygował. Gdyby osobiście mógł się być widzieć i rozmówić z Batorym, możeby go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawiał Zamojski, choć w istocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą króla powstrzymać.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruć miała i przymnożyć nieubłaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale niedługo. Męstwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie męstwo, które w przededniu najzaciętszych walk okazywał, powagę sędziego, majestet królewskiego zastępcy. Wyszedł napowrót do izby pierwszej, a Urowiecki,

Mroczek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł, jakby pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zaraz do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić począł, odezwał się:

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmościów, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności, — ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach? — zapytał hetman.

— Trzydziestu może, — rzekł Urowiecki — bo połowa ich jest z Luzickim. Ludzie odważni, ale nie będzie komu pokierować nimi; wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie? — mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim — Borowski, ów sokolniczy, a teraz dowódca, Chełmski, Morawa, Bałaban, Skorowski, Rychłowski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki, — gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć, — rzekł Mroczek — że my, unikając niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy, aż się do snu udadzą, więc pobudzeni niebardzo się bronić będą mogli. Samuel, choć szable i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych, — odezwał się hetman — a niepotrzebnych ran i zabójstw unikajcie. Byleście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozisz, jak powiada Boksicki, dostali — reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwalą; niech się w nim dawna pocziwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to — i pytał dalej.

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę?

Urowiecki głosował za tem, aby dobór uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie zwracać. Mroczek nie widział w tem złego,

choćby o kilku więcej się zebrało, bo mogli drudzy Samuelowi, z Luzickim stojącym nieopodal, nadbiec i o odbicie się kusić. W istocie zmuszało to liczbę powiększyć.

Urowiecki z Mroczkim mieli kierować najściem na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zręczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć, — zapytał Urowiecki — mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na zamek — odparł hetman. — Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka nie potrzebna, bo banita, wpadłszy w ręce, już jest zabity, ale wolę go posadzić, — poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma li być śmiercią karan, — cicho dodał Zamojski — niech pani Wapowska też instyguje przeciwko niemu. Zmniejszy to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególnie na mnie, rzuca winę tej śmierci, choć, Bóg świadek, kielich ten odwracałem ode mnie, pókim tylko zdołał. Ale są człowiekowi przeznaczone rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź więc wola Twoja.

I pomruczawszy coś cicho, kanclerz dodał:

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w więzy, a straż niechaj będzie pilna. Nie szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi. Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mroczkim jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tem byli z sobą wszyscy zgodni.

— Patrzajcie tylko! — dodał Zamojski. — Gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem jest tak go obmyśleć, aby się powiódł i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie, niż dobrego, gdy go weźmiecie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł!

— Że w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości, — zawołał Mroczek — a że my go ułapim, to także pewna, boć dwór obstawimy tak, że mysz z niego nie wyjdzie. Jeżeli oręża dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy — rzekł hetman. — Nie ledwiebym to wołał, niż długą z nim procedurę; i onby rycersko skończył — nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczek, naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy wieczornej wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał; każdy z nich pojedynczo ludzi swych na godzinę umówioną cicho przysposobił tak, że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak, że każdy do snu poszedł i światła pogaszono, strażę zaciągnęto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczek i Stanisław Żółkiewski poubierali się i uzbroili zawczasu, a gdy godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnymi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt, oprócz straży, o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać, co się stało i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaśki na zabój śpiewały o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedia okrutna, której skutki długo potem w kraju odbrzmiewać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana blado płonęła.

III.

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkim nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Pie-

kary tylko rachując. W Piekarach wszystko się miało dokonać!

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszków kilku, rozumie się ulubionego Borosia i sokoły, Stefana Stadnickiego i sług trochę ze psami.

Około Podolan miejsce się okazało sposobne, więc puszczano ptaki, w czym Borosio okazał się dziwnie zręcznym, że dla niego dosyć pochwał nie miał Samuel, a tak był wesół, jak nigdy.

W Podolanach zachciało mu się donieść o wszystkim Andrzejowi, który niespokojnie oczekiwał, co się stanie, a że go już szpiegami wystraszone, list umyślnie napisał taki, aby w ręce kanclerza wpadłszy, w błąd go wprowadził.

Stało w tym liście:

„Pan Kanclerz już ku Krakowowi jedzie, jest wprzód. Ja sam z Borosiem zabawiam się z sokoły koło Podolan, którymi po staremu kugluję. U Pani Włodkowej w Piekarach spać będę; nie frasuj się wasza mość o mnie, boć sam żadnego niebezpieczeństwa nie widzę, ja też nikomu nic takowego nie myślę, tylko *la pace, la pace Senior*. Widziałem ci to na oko, że mnie kanclerz szpiegował, ale podobno nie żebym co takowego myślał, tylko się bardziej na mnie ogląda, jakobym ja, żem jest banit, nie miał być Zborowskim! Toć już w Krakowie nie będę, chociaż Czecha posłałem do Luzickiego już przed sobą; kilku do pana Żupnika wyprawię, kiedy się będziem mieli ruszać“.

Tak igrając i kuglując z sokoły, żartując z Borosiem, rozprawiając o tem, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmoście zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już z wieczerzą na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka, ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że się coś wielkiego przysposabiało i było za pasem. Włodkowa, znając męstwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wątpiła, iż co on przedsięwzięmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić!

Przy stole była ochota wielka, ale na długo się nie zaciągnęło, bo wszyscy czuli się zmęczeni, a siły były potrzebne na jutro.

Słano zaraz wszystkim łoża, gdzie i jak było można. Dla pana Samuela w izbie wielkiej, przy którym miał być Borowski i Bałaban, dla Chelmskiego Morawca w bocznej izbie obok, na górze w komnacie mieścili się syn Oleś i pan Jędrzej Stadnicki.

Pożegnawszy Włódkową, która dopilnowała, aby każdy przy łóżku miał kubek i napój dla snu potrzebny, wedle obyczaju — szli strudzeni spać tak, że przed północą cały dwór w Piekarach w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególnie, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonałe, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrwał, — usnął bardzo mocno.

Borowski, zawsze czujny, spał ino jednym okiem, gdyż i myśleć było o czem.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał zdala naprzód stąpanie koni, potem bieganie ludzi i chrzest broni, którego uniknąć niepodobna, z rusznicami zwłaszcza.

Zaledwie to uszu jego doszło, stracił ducha; wiedział już, co to było! Przepowiadano im, że hetman na swą jurysdykcję ich nie puści. Nim Borowski — boso, opończę tylko narzuciwszy, zerwał się, otworzył szybę i wyjrzał przez okno, pod ścianami ludzi już było pełno.

Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory pocichu sobie drzwi otworzył... stąd na podwórko.

Tu jeszcze jakoś nikogo nie było i Borowski śmignął wprost do stajen. Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się dobudzić nie mógł; zresztą sam potem wytłumaczyć nie umiał, co zrobił, — płakał tylko.

Obudził się potem na hałas Bałaban i biegł do okna, a ujrawszy w dziedzińcu ludzi pełno, pośpieszył do Samuela. Tego na łóżku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że Zborowski broni swej szu-

kał. — ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierzec i tam pozostała.

Później już dojść nie było można prawdy — a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w łóżu u głowy; Borowski powiadał, że on to uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego Samuel nie pochwycił.

Balaban, drzwi znalazłszy otwarte, któremi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurna, a światła nigdzie po izbach.

Oblegający dom, czy dla postrachu, lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wziął wielki.

Włódkowa, która spała na górze, narzuciwszy le dwie chustę na siebie, zbiegła do swych sług nadół, gdzie wszystek jej fraucymer się znajdował, i tu znalazła Stadnickiego, który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał i szukał go wszędzie, ale go już nie znalazł.

— Uszedł, da li Bóg, za co Jemu chwalał — dodał Stadnicki.

Złożyła ręce Włódkowa, modląc się.

— Boże miłosierny! co się to dzieje.

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnemi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi ludźmi i wpadł między wystraszone białogłowy i małe dziewczęta.

Zarazem drugimi drzwiami, także wyrąbanymi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek z wrzaskiem, strzelaniem a hukiem.

Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek i przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochotnika, gwałtem prawie, przyłączył się do nich Drohojowski z kupą przemysłań. Ci teraz z Sernym, po-

zostawszy w podwórzu, dla postrachu ustawicznie do dworu strzelali.

Stał się więc sądny dzień prawdziwy: lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich pozapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli, Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali, co im hetman mówił, — ujdzie li, — jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwytali, na Stadnickiego i na Chełmskiego.

— Gdzie Samuel, dawajcie go!

Urowiecki bił nawet i groził śmiercią, tak, że Chełmski i Stadnicki od zniewag i razów się obronić nie mogli. A ciągle się rozlegało:

— Gdzie Samuel?

Z siepaczów zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach plondrowali. Włódkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów.

— Jak śmiecie dom mój najeżdzać, toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom okrwawili! Jestem li co winną, odpowiem, ale gwałtu zaprzestańcie!

Ale do Urowieckiego i Mrocza mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się Samuel nie wymknął, głowy potracili.

Cheąc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogłuszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotychczas ani śladu, ani słyhu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ująć — gdy oni głowami ręczyli za to, że go wezmą.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie spał syn Oleś, a był przy nim sługa wierny, Skorowski, który

go chciał bronić i cały krwią oblany szedł, bo go porąbano.

Oleś, obryzgany także, przelekły, wpadł do izby białychłłów, ojca szukając. Zobaczywszy go okrwawionego, kobiety poczęły krzyżeć:

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zabili Olesia!

Trzeba było znać Samuela, aby zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnem bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Bałabana nie było, rzucił się bezbronny, niedobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki malej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędzej, później ujęliby go byli w niej, jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenia drogę — tę, którą uszli Borowski i Bałaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca drzwi były pootwierane, droga do stajen wolna. W stajni konie i pole tuż a las.

Ale komu Bóg zginąć przeznaczył!

Posłyszawszy: Oleś zabity! Samuel wyskoczył na ten głos i w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zobaczył.

— Czego chcecie? — zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć, -- zawołał Urowiecki -- pójdź z nami do pana naszego, kancelerza, a teraz z nikim nie waz się mówić, bo będziesz zabit!

Zapalili zaraz świecę i uciekło; słychać było tylko płacz kobiet.

Samuel, zobaczywszy syna, że żyw był, pomyślawszy mało, krew swoją zimną, którą tylko w złych razach podczas miewał, gdy już sprawa była zrozpaczona, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyrąbie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a łacnoby im uszedł.

Nim się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszli, upłynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszystkim już nie czynili nic, obstawiawszy tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuela i wozy jego stały noclegiem w Stogniewicach, dokąd zaraz nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybierając się do Krakowa.

Rychłowski, który przy wozach był, nadbiegł z ludźmi, ale nie miał już tu co czynić.

Gdy rankiem do izby, w której go trzymano, wpadł Rychłowski, Samuel, zobaczywszy go zdala, odezwał się mimo zakazu:

— Daj już pokój, Rychłowski nieboże, nie masz tu co czynić. Jedźcie do syna, służcie jemu, a szkatułę tam moją miejcie w dobrym opatrzeniu.

Na biedę szkatułę tę wspomniał, gdyż potem Urowiecki o niej zaraz kanclerzowi doniósł i posłano po nią, aby wydano, a słudzy ze strachu i nieopatrności oddali ją, jak była.

Uciekło wtedy w Piekarach, chociaż je żałobą oblekło to nieszczęście, a Włodkowa, Stadnicki i syn w pierwszym momencie głowy potracili, lecz zaledwie Urowiecki, Samuela z sobą wioząc do Krakowa, ruszył, i w Piekarach myśleć poczęto o ratunku.

Zdawało się, że jeszcze drogi pozostawały i środki, aby odwrócić od Samuela karę główną, jaka mu z powodu banicji zagrażała.

Stadnicki, choć zbity i napoły żywy, natychmiast siadł na koń i do Sandomierza do marszałka Andrzeja popędził. Przybył tu może w godzinę potem, gdy listów z Podolan pisany przyszedł.

W progu zobaczywszy bladego siostrzeńca, marszałek prawie odgadł nieszczęście.

— Jędrusiul! — zawołał. — Co się stało?

— Gwałt wielki; na dwór w Piekarach nasłał kanclerz, ze strzelaniem i przemocą siepaczy, ledwie ja żyw uszedł, a Aleksander okrwawiony. Samuela słu-

dzy odbiegli, głowę stracił, sam się im w ręce dał, wzięli go i do Krakowa na zamek powieźli; ani się z tem tają, że go główna kara czeka. — Kanclerz sam ludzi z Proszowic wyprawiał. Wiedział o każdym kroku.

Marszałek z załamanemi rękami słuchał.

— Przeczuciem miał — rzekł. — Co tu czynić?

Zrazu w istocie nie wiedział nawet marszałek, co miał przedsiębrać, ale najpierwszą było rzeczą kasztelanowi dać znać, aby bronił, a Krzysztofowi, aby o sobie myślał, bo i temu z listów i papierów sąd mógł zagrozić.

Tegoż dnia biegli posłańcy do Lublina do panów, w trybunale zasiadających, którzy wymiar sprawiedliwości mieli powierzony, aby oni się ujeli za zdradliwie pochwyconym banitą, który, jak dowodził marszałek, dlatego dekret sobie mało ważył, iż go ani król, ani kanclerz nigdy nie przypominał i dawali mu w wojsku i w kraju swobodnie przebywać.

Szły listy do Jana, do pokrewnych, do Stadnickich, do pana z Górki, do Tarnowskich, do Spytkowej, — ażeby wszelkich wpływów swych zażyli dla ocalenia chociażby żywota Samuelowi.

Obawiano się, aby kanclerz, zabiegając wpływom właśnie, nie przyśpieszył wykonania dekretu, ale mylili się w tem, gdyż Zamojskiemu tak on był bolesną koniecznością, iżby był rad jak najdalej go odroczyć.

Spodziewał się może przy osobistem widzeniu się z Batorym skłonić go do łaskawości.

Jeszcze Zborowskiego nie doprowadzono do Krakowa, gdy już wieść z Piekar, ze Słogniewic i z Proszowic z szybkością błyskawicy rozbiegła się dokoła, — iż Zamojski pochwycić kazał Samuela i wprowadzić na zamek do Krakowa.

Ta nagła surowość względem człowieka, który przez czas tak długi swobodnie się wszędzie ukazywał publicznie, a nawet bywał w stolicy, tłumaczyła się wprowadzie dla włajemniczonych historją Wojtaszka i pochwyconych korespondencyj, które spisku na życie króla i kanclerza dowodziły, ale dla innych był to

krok tylko obrachowany, aby kraj i niechętną szlachtę przejąć trwogą i okazać jej, że król nikomu pobłażać nie myśli, ani rodzinom znacznym, ani tym nawet, co mu do zdobycia korony dopomagali, bo do tych się liczyli Zborowscy.

Już wprzód na niepomierłą surowość Batorego, na tyranję jego podnosiły się głosy, teraz zerwała się burza, uderzono na gwałt; nieprzyjaciele nawet Zborowskich widzieli w tem porwanie się na swobody i przywileje szlachty, cóż dopiero rodzina, spokrewnieni, przyjaźni i ci, którzy stojąc po stronie cesarza, wyszukiwali, co mogli, przeciw królowi.

To, co przewidywał Zamojski, ziściło się z nawiązką; w jednej chwili umysły były zaognione, wzniosły się wyrzuty i krzyki najgwałtowniejsze.

Dotykały one króla, który był odpowiedzialnym za Zamojskiego, ale w daleko większym stopniu spadły na kanclerza. W nim widziano instygatora, sprawcę, winowajcę. Nieprzyjaźń ze Zborowskimi, odgródki Samuela dawno były znane powszechnie; uwięzienie uważano, jako pomstę osobistą. Sprawa stała się jako walka Zamojskiego ze Zborowskimi.

Od zabójstwa Wapowskiego, przez szalone wybryki Samuela, postępowanie nieczyste i niejasne jego braci, przerzucenie się ich do cesarskiego obozu, — Zborowscy znacznie na swym wpływie i poszanowaniu u ludzi stracili, ale zawsze, choć nadrujnowany marszałek, choć zubożały podczaszy, mieli jeszcze i majątności rozległe i stosunki ogromne, i związki, i klientów a szlachtę drobną, która ślepo szła z nimi.

Uwięzienie Samuela przychodziło też w samą porę dla tych, co przeciwko królowi knowali i gotowali zartą opozycję na sejmie. Ze wszech stron zabierano się je zużytkować, dowodząc samowoli, gwałtu, nieposzanowania praw stanu uprzywilejowanego.

Przez tyle więc lat wolno było banicie ukazywać się wszędzie, nikt mu nie mówił słowa, dano się ubezpieczyć, a potem schwycono go, jak w pułapkę.

Poruszenie umysłów, wywołane wiadomością o na-

padzie na Piekary, z każdą chwilą przybierało rozmiary groźniejsze; dodawano do tego opisu nocne najście na dom kobiety, wdowy bezbronnej, — okrucieństwo, z jakim Urowiecki i Mroczek postąpili względem niej, małoletniego syna Samuelowego, młodego Stadnickiego i służby, strzelanie do domu, plondrowanie, wyrybywanie drzwi, wrzaski, odgróźki i t. p.

W listach i opisach tej nocy powiadano:

„Toć się stało tego dnia w Piekarach, w dworze przywilejowanym pani Włodkowej, z piątku na sobotę w nocy dwunastego dnia maja, gdy miesiąc w ognie był smokowym, w kilka dni po zaćmieniu słońca w tym roku“.

Dla szlachty było to w istocie nowe słońca zaćmienie, bo ukrócenie swobód jej... targnięcie się na jej prawa.

Miał za sobą Zamojski banicję, która nigdy przestać nie może, ale dlaczegoż jej przez lat tyle nie zużytkował?

Przybycie kanclerza do Krakowa nie uprzedziło niezmiernego niepokoju, jaki uwięzienie Samuela sprawiło. Zastał tu już wszystkich swych przyjaciół zaalarmowanych, przestraszonych. Załedwie zażegnane niechęci miały się więc rozognić znowu! Wszysey prawie potępiali tę surowość!

Poważny, zimny, spokojny kanclerz na pytania, na ubolewania nawet nie odpowiadał, zbywał je majestatem, bardzo znaczącem milezeniem. Na króla odpowiedzialności składać nie mógł... sam bronić się nie myślał, a na wszystkich twarzach czytał pytanie niespokojne: — Cóż dalej?

Tegoż dnia nad wieczorem nadbiegł na zamek ks. biskup Myszkowski, po którego obliczu zmienionem, bladości i poruszeniu kanclerz poznał, że i jego ta sprawa Zborowskich mocno obchodziła i trwożyła.

Nie zagadnął o nią w chwili pierwszej, pytając o podróż, o zdrowie, o króla, lecz łatwo było poznać, że to wszystko było tylko wstępem do najważniejszej rzeczy,

do zapytania o Samuela, do interwencji za łagodnością i miłosierdziem.

Kancelarz i biskup nie śmieli długo dotknąć tej struny drażliwej, naostatek Myszkowski, już się powstrzymać nie mogąc, ręce złożył i zawołał:

— Kancelerzu mój, poznajesz po mnie łatwo, żem ja tu nie z samem pozdrowieniem pośpieszał. Co za straszliwe wieści! Jakże się stało, że Zborowskiego Samuela ujęto?

Chłodno odparł kancelarz:

— Z mojego rozkazu! Napominałem go, aby się w mojej jurysdykcji nie śmiał ukazywać. Na przekorę i szyderstwo przybył do Piekar, gdy wiedział o mnie w Proszowicach. Gotowano zamach na mnie, — musiałem go uprzedzić.

Biskupowi łzy się toczyły po twarzy.

— Al następstwa tego kroku są nieobliczone — zawołał. — Król i wy ucierpicie... poruszyliście gniazdo osiel!

— Wiem o tem, — rzekł Zamojski — ale osy te nam w oczy lazły i kasały, — raz z niemi skończyć potrzeba.

— Skończyć! — przerwał biskup. — To dopiero początek, a koniec, koniec... nie daje się przewidzieć, ani obrachować. Surowością u nas obcemu, jak Batory, nie począć nie można, — łagodnością wszystko łatwo.

— Poblązaniem doszliśmy do bezprawiów — zawołał Zamojski. — Trzeba granicę położyć temu; czas był, musiałem. Nie cofnę się.

Biskup, nie śmiejąc już pytać, milcząco ręce zalał; domyślał się reszty. Głowa mu opadła na piersi, zdawał się modlić w duchu, aby Bóg zmiękczył serca.

Rozmowa, przzerwana na chwilę, podjęta została z krwią zimną przez Zamojskiego, który z wyraźnym rozmysłem omijał króla, usuwał wszelki wpływ jego, tłumaczył sobie tylko i wszystko brał na swe barki. Biskup znał już obu nadto, aby się tem dał złudzić; wiedział, co miał trzymać.

Spodziewał się, że kanclerza nieco łagodniej usposobić potrafi, ale wkrótce przekonać się musiał, że bez namiętności, bez gniewu, chłodno — Zamojski stał przy swoim, jako przy następstwie koniecznem prawa, które poszanowane i spełnione być musiało, aby wrazić narodowi wogóle znaczenie praw, z których nikt wylaamywać się nie mógł.

Gdy po długich dość odwiedzinach powstał Myszkowski, aby pożegnać kanclerza, smutkiem oblekła mu się twarz poważna, bo wiedział już, że Zamojski nie ustąpi, że postanowienie jego jest niezłomne. Mała nadzieja pozostawała na królu... lecz Batory mniej jeszcze do łagodności i ustępstw był skłonnym.

Zamojski, przybywając do Krakowa, wiedział co go tu czekało i na co miał się gotować. Drzwi się też nie zamykały. Jedni przychodzili z aplauzem, chcąc mu się przypochlebić, co on surowo i zmarszczony przyjmował, drudzy — a tych było daleko więcej — biegli z błaganiami, ze strachem i argumentami przekonywającymi, że łagodność była konieczną. Zamojski nie odpowiadał, ani się tłumaczył.

Dla zmniejszenia nieco wrzawy przeciwko królowi i sobie jeden tylko środek obmyślił: skłonić wdowę Wapowską do instygowania przeciwko zabójcy męża.

Pamiętnem było dobrze, z jaką wytrwałością, nie pozwalając pogrzebać zwłok męzkowskich, Wapowska je uparcie na zamek do króla wozila, domagając się pomsty... Od tego czasu nie zrzucając żaloby, — święta matrona, cała oddana dzieciom i pobożności, na nabożeństwach, postach i dobrych uczynkach spędzała żywot sierocy, któremu pamięć męża przyświecała.

Zdawać się więc mogło kanclerzowi, że teraz, korzystając ze zrzeczności, przysłuży się i Wapowska do potępienia gwałtownika.

Ale była to prawdziwie święta niewiasta. Wielka jej boleść upłynęła ze łzami, miała czas ofiarować Bogu swe wdowieństwo, a teraz, gdy nieprzyjaciół leżał zwyciężony i pobity, nie chciała bezbronnemu zadawać ostatniego ciosu. Przebaczała mu po chrześcijańsku.

Odpowiedź jej na wezwanie brzmiała, iż teraz już ona krzywdy swej dochodzić nie będzie i pomszczenie jej Bogu oddaje.

Wszystko więc całem brzemieniem spaść miało na Zamojskiego.

Króla nie było w Krakowie. Hetman postanowił pod jakimkolwiek bądź pozorem przeciągnąć wykonanie, aby raz jeszcze odwołać się do Batorego i skłonić go może do łagodności. Pobiegły listy na Litwę.

Oblany krwią rannego sługi, młody Aleksander udał się z Piekar do marszałka, który miał być jego opiekunem. Tu zastał już Annę, która z ochmistrzynią swą przybiegła rzucić mu się do nóg, błagając, aby nie opuszczał ojca!

Anusia było od pierwszej chwili, gdy otrzymała wiadomość, w nieustającej gorączce. Chodziła jak nieprzytomna, powtarzając pocichu: Wojtaszek! Zamojski!

Z namietnością niewieścią, z gwałtownością tej krwi właściwą, która w jej żyłach płynęła, zaciskała usta, gryzła wargi, lzy się jej puszczały z oczów i wołała pocichu: Zemsty! zemsty!

Marszałek nie mógł uspokoić dziewczęcia. Sam przeżony, ale zimny, myślał tylko, jak obrócić na korzyść rodziny nieszczęście, które ją spotykało.

Pytał sam siebie, czy być to mogło, aby potomek onych sławnych Zborowskich padł z ręki kata... Przychodziło mu na myśl, niestety, że ojciec ich rodziny zabił banitę Sanguszkę...

Los zdawał się na drugiem pokoleniu chcieć pomścić męża Halszki z Ostroga...

Jeżeli kniaź ze sławnego rodu mógł paść ofiarą tego prawa, na obcej ziemi, gdzie ono już wagi nie miało — dlaczegóżby oszczędzić miano Samuela, który wziętym został tam, gdzie się znajdować nie miał swobody, zwłaszcza, gdy na nim mścić się było można nietylko winy jego, ale całej rodziny, spisków i zamachów.

Listy Krzysztofa świadczyły przeciwko nim wszystkim. Mógłże Jan, kasztelan gnieźnieński, zaważyć swą wiernością i cnotą za trzech winowajców?

Marszałek starał się upewnić Anusię, że niebo i ziemię poruszają, aby Samuela ocalić.

— Leez, dziecko moje, — rzekł — mamy nieprzyjaciół strasznych! Król sam stoi na ich czele, a za nim jest mściwy Zamojski, a za nimi cały tłum dworaków, zauszników, pochlebców. Zawiechrzym kraj, podburzym szlachtę, wywołamy zjazdy, podniosą się krzyki; ale czy to pomoże, czy pogorszy; nastraszy, czy rozjątrzy — któż to wie?

Anusia — dziecko, kobieta, nie rozumiała nawet, iżby nie zrobić nie można. Cała szlachta nie tylko na Rusi, ale w Rzeczypospolitej podnieść się była powinna! Na Litwie mieli Chodkiewiczów, w Wielkiej Polsce Górków, w Krakowskiem Spytków...

Palila się jej głowa.

— Zemsty! zemsty! — powtarzała sama do siebie.

Z Sandomierza padłszy naostatkiem do nóg marszałkowi, Anusia się kazała wieźć do Piekar, do Włodkowej. Zdało się jej, że ta siostra, ta ulubiona ojcu kobieta, lepiej ją zrozumie, gorącej pomóc jej potrafi, niż marszałek. Dowiedziała się razem, że kasztelana nie było, że na niego długo jeszcze czekać musieli, a podczaszy uciekł już za granicę, z obawy, aby na nim nie poszukiwano wyrazów listu, w których królowi uznania jego tytułu odmawiał (*Rex si hoc nomine dignus*).

Ta ucieczka, gdy ojca jej bronić było potrzeba, oburzała ją.

Wszyscy więc opuszczali nieszczęśliwego? — mówiła sobie, a więc ona jedna, słaba, biedna niewiasta, dziecko, mężnie stanie w jego obronie... Pojedzie na koniec świata, zburzy, co żyje, a naostatkiem pomści się za ojca!

Imię zbrodniarza Wojtaszka nie schodziło jej z ust.

— Na dworze królewskim jest! ale i ja tam się dostać potrafię, i tam go wyśledzę... zapłacę ludzi, znajdę zbójów... życie mu odjąć każę... Zginać musi...

Napróżno stara ochmistrzyni, niewiasta, co się jeszcze z domu Spytków tu dostała i umiała modlić, chciała ją do modlitwy skłonić, do zwrócenia się ku

Bogu, — Anusia, inaczej wychowana przy ojcu, rachowała na siebie tylko.

Z tą gorączką przybyła do Pickar i łkając a krzycząc, rzuciła się na szyję wychodzącej naprzeciw niej Włodkowej.

Były to dwa zbliżone do siebie temperamenta. Wdowa także gorączkowała się, szalała, ale zarazem wśród nieustannego zajęcia sprawą wuja Samuela już była z nią obytą, już niemal zdawała się być zobojętniałą... Codziennie tylekroć powtarzała opowiadanie, iż jej spowszechniało; codziennie tyle razy tu rozprawiano o grożącej Samuelowi śmierci, że i ta już była dla niej przewidzianą... a że Włodkowa przytem czynną być mogła, poruszała się, jeździła, pisała, krzyczała — prawie jej z tem było dobrze... Była w swoim żywiole...

Anusie oburzyło to niemal; ona nie mówić, ale czynną być chciała... Włodkowa nie widziała sposobu uczynienia najmniejszego kroku. Jej rzeczą było pobudzać i nie dać usnąć obrońcom. Ale z tego, co dochodziło z Krakowa, już nie miała nadziei ocalenia.

Przy pierwszym spotkaniu Anna, posłyszawszy to wszystko, prawie do rozpaczki została przywiedziona; chciała jechać do Krakowa, domagać się widzenia z ojcem; dowiedziała się, że nikogo nie dopuszczano do niego, nikomu z nim mówić, dostąpić nie dawano.

Wszystko, co uczyniono dotąd, Annie wydawało się niedostatecznem... oskarżała stryjów, gniewała się na rodzinę. Chciała jechać od dworu do dworu po krewnych i zmuszać ich do wystąpienia.

Prawo! Anusia nie wiedziała o żadnem prawie na świecie, któreby ojcu jej życie odjąć dozwalało! Słowem, szła to był dziecka, ale tak gwałtowny, że go nie pohamować nie mogło.

Nazajutrz Włodkowa, zaledwie powstawszy, pobięła do Anusi. W łóżku już jej nie było, nie było we dworze; kazała powiedzieć, że jedzie do kanclerza.

— Oczy mu wydrę! — wołała, siadając do kolebki z ochmistrzynią.

Włodkowa chciała się naprzód puścić w pogoń za

nią, ale goście ją najechali, a wreszcie Anusi powstrzymać żadna już ludzka siła nie zdołała...

Późno wieczorem zatoczyła się powracająca z Krakowa kolebka. Anna wysiadła z niej blada i zapłakana.

Kancelarz przyjąć jej nie chciał, odprawiono ją od progu! Do królowej dostąpić nie mogła. Podli ludzie uciekali od niej i nikt a nikt nie chciał być pomocą. Zabijałaby, — gdyby mogła. Łzy toczyły się po twarzy... nie wiedziała już, co miała począć.

W Krakowie, na chwilę stanąwszy u wrót pustego domu na Franciszkańskiej ulicy, dowiedziała się tu tylko, że w nim nikogo nie było, nie spodziewano się nikogo. Kasztelan nierychło mógł przybyć.

Tu ją spotkało to, co biedne dziewczę dobiło.

Stała przed wrótami głośno lamentując i krzycząc na służbę, która stała obojętna i zimna, gdy ujrzała zbliżającego się ku sobie ulicą mnicha w habicie białym w czarnym płaszczu.

Z twarzy żółtej i czarnych oczów poznała w nim o. Czesława.

Dominikanin stanął zbliższy i przysłuchując się wyrzekaniom Anny, głową potrząsał, a usta drgały mu uśmiechem nielitościwie szyderskim. Zwróciła się ku niemu dziewczyna, mierząc go oczyma rozplamionemi.

O. Czesław nie ustępował.

— A co? — zawolał nagłos, jakby stał na kazalnicy. — Przyszła na was, na ród bezbożny — pomsty Bożej godzina... Bolejcie i jęczycie... ale to mało za zbrodnie wasze! Ród wasz przepaść, imię zginąć, gniazda wasze zniszczone być powinny! Nie zostanie z was śladu, a z domów waszych kamienia na kamieniu... Poleje się krew za krew, łzy za łzy... bo Bóg jest sprawiedliwym a wszechmocna jest ręka Jego, i upokorzy on mocnych i potężnych, a podniesie pokornych i uciśnionych...

To mówiąc, mnich rzucił ręką, jakby pochodnie anathemy ciskał z kazalnicy — i nie słuchając krzyku omdlałej Anusi, poszedł dalej obojętny.

Chociaż w zamku języka dostać było trudno, bo tam się nikt nie mógł przecisnąć, a straż była bardzo pilna, wiadano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych towarzyszków i stróżów dwóch najwierniejszych sług hetmana: rołmistrza Mrocza, który go pojmał, i Sernego, który w Piekarach strzelał do dworu dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowym u Przylęckiego, a Samuela rzadko z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby, przestronniejszej nieco.

Dokoła burgrabstwa, ponieważ Zamojski mógł się obawiać wszystkiego, nawet gwałtownego jakiegoś najścia na zamek, liczono niemniej nad kilkuset szarpaczów z rusznicami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugich, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego możnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im, jak chcieli, wolno było obchodzić, nie upokarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek poszanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie. Jest coś niepocziwego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem... Każde ich słowo było urągowskiem... Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tem grubiaństwem żołnierskiem, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpacz przyprowadzać.

Ale wprędce Zborowski pojął, że, dając im poznać obrazę i cierpienie, czyniłby im rozkosz... Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym nau

myślnie. Kosztowało go to, lecz winien był godności własnej, aby nie uczuć razów, jakie mu zadawano. Znosił je z obojętnością kamienną; gdy dwaj rotmistrze umyślnie przy nim rozpoczynali rozmowy, które go mogły drażnić, patrzył gdzie indziej i zdawał się głuchy. Nie rozbrajało to gburów.

Oprócz groźby końca, który Samuel przewidywać musiał, wiedząc, co go czeka, a nie spodziewając się litości, — tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naówczas myśli jego błądziły... co doświadczał? — tego nawet ci oprawcy odgadnąć nie potrafili. Siadywał na łożu, lieho zaslanem, całemi godzinami, sparty na rękę i zadumany. Wyzywany umyślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść hetmanowi, Zborowski dumnie i krótko, albo wcale nie odpowiadał.

Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najnędrniejszego z więźniów. Rzadko o co prosił. Nawykły w potrzebie żyć kawalkiem suchego chleba i wodą, nie dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadywał się czasem rzeczy, które go obchodziły — zawsze najgorszych i najprzykrzejszych — ale nie dawał znaku, aby je wiecej ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że alboby go zbyt szyderstwem, lub odpowiedziano pogroźką. Widzieć się nie mógł z nikim.

— Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dziećmi zaopiekować, o tem nie wątpił Samuel, ale nim? tego nie był pewnym! Wreszcie on może krok jakiby uczynił, ale Krzychnik? Ten musiał ująć, — domyślał się słusznie; ten ani by chciał, ani zresztą potrafił nic zrobić. Kto wie jeszcze, co z nim być miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza.

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute, wiły mu się po głowie. — Tak więc kończyło się to bujne, rozluźnane życie, blasków pełne i ciemności... legł w walce

z kanclerzem!... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko miał sobie do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma, przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powtarzające się krzyki, dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepem Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoły! Nic, nic już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyi, zimne dotknięcie jego, a potem?...

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do kościoła nie należał... zaciągnął się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział, ani jak, ani do kogo się modlić? Poza tem życiem, u którego skraju stał, była jakaś przepaść ciemna i nie w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracały ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z którymi Zborowscy byli połączeni. Przecież szlachta i panowie, nawet pod panowaniem „Wilczych zębów“ coś znaczyli; przecież Samuel-banita nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

— Nie, — myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że światby oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośne, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie! nie waży się... Puścić musi!

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było gromadki śmiałków, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tylu, a teraz jego sprawa była razem sprawą całej szlachty? Na króla cała Rzeczpospolita narzekała, Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla puharu przepełnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, a mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miano. Naówczas był pewien ocalenia!

Tem się pocieszał; a niejeden on zwłokę za znak wahania się pomyślny dla Samuela być sądził. Tego zdania było wielu innych. Rozumowano, że banita mógł być natychmiast po uchwyceniu karany śmiercią; jeżeli tego nie spełniono, snąć łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowioną, ale Zamojski sam wahał się jeszcze. Radby był przebaczył i folgował... chciał się jeszcze do króla odwołać...

Pisać nie starczyło, jechać nie mógł, bo i sądy i rządy na nim tu spoczywały — cóż uczynić miał?

Najrozumniejszy z jego domowników, sekretarz Heidenstein, wyprawiony został potajemnie; kazano mu co najspieszniej powracać.

Heidenstein znał myśli kanclerza najlepiej, był doń przywiązany, rozumiał, a teraz... odczuwał i przeczuwał wszystko, co za sobą sprawa Zborowskich ciągnęła. Wartoż było sobie nią nowe trudności tworzyć na przyszłość, gdy i tak liczba ich przechodziła miarę?

Heidenstein miał w Grodnie lub gdziekolwiekby króla mógł pochwycić, skłonić do łagodności, prosić o pozwolenie, żądać ulaskawienia. Niewiele się spodziewał po tym kroku Zamojski, ale dla uspokojenia sumienia czuł się obowiązany uczynić go. Heidenstein dniem i nocą biegł ku Litwie.

W Grodnie na starym zamku, w izbie, którejby la-da rada miejska nie chciała na posiedzenia, na ławie ledwie pokrytej, zastał Heidenstein pana z chmurnem czołem, otoczonego psami, wśród liczego swego węgierskiego dworu.

Witał go już tak, że się nic dobrego spodziewać nie było można.

— A co? — spytał król po łacinie — dał głowę?

— Kto? — spytał posłaniec zmieszany.

— Zdrajca, co czyhał na moje życie, — odparł król — Zborowski!

Zawahał się nieco Heidenstein.

— Najjaśniejszy panie, — rzekł po namyśle — właśnie ja przybywam do was w tej sprawie!

— Ale ona jest skończona! Kanclerz wie moją wolę, — odparł król — tu już do omówienia nic niema. Ja nie zmienię postanowienia!

— Kanclerz kazał mi jednak przedstawić jeszcze ustnie waszej królewskiej mości — rzekł poseł.

— Co? że się obawia Zborowskich? wrzawy? krzyku? pomawiania o okrucieństwo? Wszystko to są marne wymówki: ten człowiek musi głową nałożyć... dowody zdrady są jawne!

Heidenstein sklonił głowę.

— Kanclerz mi polecił — odezwał się spokojnie — przedstawić waszej królewskiej mości, że tu nie idzie o Samuela Zborowskiego; malkontenci, których partja cesarska płaci, radzi będą skorzystać z wypadku, wyzyskają, — kanclerza i waszą królewską mość uczynią tyranami, podburzą kraj, sejm przyszedł uczynić nadzwyczaj niespokojnym, słowem, łaskawość tu byłaby rachubą... kanclerz za nią przemawia.

Batory, który siedział z bardzo pochmurnem obliczem, namarszczył się bardziej jeszcze, wargą dolną mu zaczynała drżeć, co było znakiem gniewu i niecierpliwości.

— Zamojski żąda ode mnie rzeczy niemożliwych — zawołał. — Com raz powiedział, nie zmieniam. Słowo królewskie powinno być jedno: tak, lub nie! Raz wyrzeczone zostaje jak fatum nieubłaganem. Ten człowiek powinien zginąć! Prawo tego chce. Ja i kanclerz jesteśmy stróżami prawa!

Na chwilę król przestał mówić, umoczył usta w kubku jakiegoś napoju, który stał przed nim.

— Czytałeś ich listy? — począł, zwracając się do Heidensteina. — Znasz ich sprawę? Oni mnie stracił hetmana zabić chcieli, zasadzili się na mnie z Ciołkiem w Krakowie, szukali trucizny! Zobacz, jakim imieniem

mnie zowią. Dla nich ja nawet królem nie jestem! — Nie! nie! To wszystko przebaczyć byłoby niedarowaną słabością. Niepodobieństwem jest. Nie mogę! nie chcę! Ukarać śmiercią! ukarać! Prawo karze banitę śmiercią, nie my. Ten buntownik jeździł na Niż Kozaków przeciwko mnie ściągając, buntować Wołoszę... brat na dworze cesarza. Otaczają mnie szpiegami. Kto wie, czy w tej chwili przekupiony sługa nie gotuje dla mnie truczizny, a ty chcesz, ażebym ja im przebaczył. Nigdy!

Poruszony król zaczął się przechadzać żywo i słychać było tylko jego oddech ciężki.

Heidenstein stał smutny.

— Wszystko to prawda, najjaśniejszy panie, — odezwał się — ale każda rzecz ma dwie strony. Kto wie, czy wspaniałomyślne przebaczenie winy, a przynajmniej złagodzenie kary, nie byłoby na dobre. Można go w wieży osadzić do sejmu, a sejm...

— Sejm, jeśli będzie sądził, to Krzysztofa, a nie jego — przerwał król. — Ten osądzony jest. Ściąć go, tego zbrojce, nic więcej, inaczej u was w tej Polsce nigdy nie będzie karności, ładu i siły. Imponuje wam imię sławne, ród... ale prawo zna tylko człowieka i winowajcę!

Coraz pośpieszniej król ciągnął dalej:

— Niech mówią, co chcą na mnie, — żem wilk, krwi chciwy i okrutny, żem tyran (ruszył ramionami), że nie mam litości... ale niech się boją i słuchają. Inaczejby mi nie pozostało nic, tylko zrzucić tę koronę precz, a samemu powracać do Siedmiogrodu.

— Lecz, miłościwy królu, — rzekł Heidenstein — czyż taka jest waga tego człowieka i wypadku, aby na nim koniecznie przykład dawać? Hetman się wzdryga, szczególnież dlatego, iż musiał go sam pochwycić; wszystko więc spadnie na niego, na osobistą niechęć i zemstę.

— I Zamojski, on, boi się gawiedzi, która będzie nań ciskała kamieniami i błotem? — zawołał król. — On gardzić nią powinien, jak ja!

— Nie, Heidenstein! — dodał Batory, zwracając

się bliżej ku niemu — napróżno nie usiłuj mnie przekonać. Wiem, że argumentów znajdziesz siłę za *clementią*, ale to cnota, której ja praktykować nie mogę. Żelaznej ręki potrzeba.

Heidensteinowi trudno się było nawet odczuwać. Zaledwie usta otwierał, król mu przerywał.

— Ściąć go, dać go ściąć, — powtórzył — a co prędzej, to lepiej. Zamojski niepotrzebnie przeciągnął, niepotrzebnie mnie pytał. Tymczasem umysły się niepokoją, wzmacza się niechęć w kraju; wyobrażają sobie, iż coś uczynić potrafią, to ich uzuchwala... a pofolgujemy ten raz, wszystko przepadło! Nie my tu panami, tylko oni.

Westchnął poseł.

— Nie dosyć na tem, — dodał król — ja podczasem Krzysztofowi nie daruję. On stanie przed sądem sejmowym. Mam listy, — jest królobójcą, a jeśli nie spełnił zamiaru, nie zbywało mu na chęci.

I z goryczą, z gniewem powtórzył Batory:

— Ha... *Rex, si hoc nomine dignus!* Byłbym w istocie niegodnym imienia króla, gdybym na krok im ustąpił. Krzysztof da głowę!

— Niema go w kraju, najjaśniejszy panie, — odezwał się poseł — jest na Morawie w państwie cesarza i mieni się jego poddanym.

— Ale był moim — przerwał król — i odpowie za to, co tu popelnił. Nie będziemy go mieli, skażemy na banicję, jak brata, a ukaże się li w krajach naszych, spotka go los Samuelowy.

Przeciwko Janowi nie mam nic — dodał — oni jego oszukiwali, on o niczem nie wiedział, ale marszałek należał do trójcy i jeśli ujdzie, niech się ma na baczności. Uchwycę li go na uczynku, nie daruję, jak tamtym dwom.

— Niestety, — odezwał się Zamojskiego posłaniec — wszyscy oni trzej należą do rodziny, połączonej z wielu domami znacznymi w Koronie i na Litwie; zjedna to nam nieprzyjaciół.

— Jawnych! — odparł Batory — tem lepiej! Do-

ład byli nimi skrycie. Owszem, niech powstaną, stawię im czoło. Kanclerz, stojąc u mego boku, wiedział, co go czekało i że u mnie przebaczenia niema. Ani tchórzem, ani słabym nie chcę być; tak! wolę być okrutnym... a nawet w tym razie nie mam litości! nie mam... budziłibyście ją napróżno, gniew tylko się wzmoże.

Po krótkiem milczeniu zafrasowany Heidenstein rzekł cicho:

— Wróćę więc z niczem?

— Z rozkazem, aby Zamojski nie zwlekał — odparł Batory. — Kocha on ten swój kraj, niechże się nie waha wypiec zjadliwej rany... inaczej on nigdy zdrowym nie będzie i zginie, rozerwany i bezsilny.

To mówiąc, król drżał z gniewu, który go do szpiku kości przejmował.

Chciał Heidensteinowi wskazać, aby przestał nalegać w sprawie Zborowskich i nagle zwrócił rozmowę i pytanie na wojskowe zaciągi. Wspomniał o poselstwie tatarskiem z pogardą, zapytał o nowiny z Rzymu.

Na wszystko to nikt lepiej nie mógł odpowiedzieć nad Heidensteina, który wszystkie papiery kanclerskie miał w ręku i listy czytał, bo na nie w imieniu Zamojskiego odpowiadał. Czasem tylko dawny uczeń Padewskiej *almae matris* łacinę jego nieznacznie poprawił.

Naostatek król zapytał, czy długo tu zabawić myśli.

— Miłościwy panie, jak najkrócej zostanę a próżnemi rękami, choć lekko mi napozór powracać będzie, niestety! — nie zaspokoje kanclerza!

— Nie mogę ulec! — odparł Batory. — Ci ludzie nie warci są litości. Sam kanclerz pisał wczora, że Samuel do niezmiernej liczby zabójstw i zbrodni się przyznaje. Zasłużył na śmierć... niema dla niego litości.

— Kanclerz się jej domaga dla siebie — rzekł Heidenstein.

— Żal mi, że nie upadlając się, nie mogę go zaspokoić — przerwał Batory, suknię na sobie targając niecierpliwie. — Jestem królem, jestem sędzią, wyobrażam sprawiedliwość na ziemi, a nie miłosierdzie. Powiedz mu, niech go da ściąć, nie chce li mnie obrazić i rozgnie-

wać. Jest tego potrzeba, konieczność. Niech zginie! Mówilem i powtarzam to, tylko zdechły pies nie kasał! Niech zdychał!

Słuchał już Heidenstein, niemal przerażony tym gwałtownym wybuchem, nie śmiał się odezwać, widział, że usiłowania jego, zamiast ułagodzić, rozjątrzały tylko króla. Spodziewać się w nim zmiany usposobienia było to nie znać go; rachować na czyjkolwiek wpływ, — złudzeniemby było. Nie widział zresztą nikogo, oprócz kilku duchownych, którymby mógł się zwierzyć, a tych król zażywał do swych celów i spraw politycznych, — ale się przez nich kierować nie dawał.

Jezuici, o których wpływie mówiono naówczas wiele, byli też w tej silnej dłoni tylko narzędziem. Używał ich w sprawie z Moskwą, osadzał ich kolegja, dał przywilej na akademję, ale nie widział w tem nic więcej, nad pomnożenie oświaty, której potrzebę widział wielką; oni mu ją przynosili, — nie pytał więcej! Sprawy wiary zostawiał sumieniu pojedynczych ludzi i kierunkowi Kościoła.

Obejrzawszy się po dworze króla i urzędnikach, jacy przy nim byli, Heidenstein zwątpił, aby co więcej mógł przedsięwziąć jeszcze. Chciał jednak, żegnając Batorego, uczynić jeszcze próbę i do niej się przygotował.

Król nazначzył mu dla odebrania listów do kancle-rza poobiednią godzinę. Gdy przybył, znalazł już listy gotowe, a Batorego uspokojonego znacznie. Wręczył mu je król i kazał pozdrowić Zamojskiego.

— Powiedz mu, — odezwał się — że ja się tu najlepiej zabawiam na Litwie. Zwierza jest pod dostatkiem, psiarnię moją książę Lignicki zasilil nowemi ogarami, ptaki mi przysłano z Moskwy, — myślistwo, dzięki moim ludziom, doskonałe... mogę tu na chwilę o tych troskach zapomnieć, które mnie w Krakowie jedzą!

— Miłościwy panie, dzięki za to Bogu — rzekł Heidenstein, — Hetman cieszyć się będzie, ale uczynicie też cokolwiek dla niego. On dźwiga wszystkie brzemię na

ramionach, a sprawa ta nieszczęsna przymnoży mu trosk i nieprzyjaciół.

— Wiem o tem, — odparł Batory — ale ich i mnie przyczyni. Nie mogę nic... nie przebaczę! Zuchwalstwo psów tych, co na mnie czekały lat tyle, raz trzeba ukrócić. Powiedz hetmanowi, — przebaczenia dla nich niema i nie będzie!

Z takim poselstwem i podobnie brzmiącemi listy wrócił Heidenstein, gdy tymczasem w Krakowie, z dnia na dzień, badano powoli Samuela i ściągano wykonanie dekretu, do którego był już przygotowanym.

Mroczek, Serny i Urowiecki nieustannie mu to przypominali, że zginąć musi i zginie.

Zamojski z wielkim niepokojem oczekiwał odpowiedzi króla. Przybył wkońcu, z niezmiernym pośpiechem podróż odbywszy, Heidensten, a wnijscie jego i milczące oddawanie listów mówiło już, co przywoził, pytać nawet nie potrzebował hetman.

— Król więc — zapytał, nie łamiąc pieczęci — król więc się ubłagać nie dał? Widzę to po was.

Zmilczał Heidenstein.

— Małom się spodziewałem — rzekł. — Tak, kielich potrzeba dopić do dna. Jest moim dobroczyńcą, słuszną więc, abym za niego dziś i w przyszłości cierpiał. Obwinia o to okrucieństwo nie króla, ale mnie, to pewna. Jabym był postąpił może inaczej. Batory ma słuszość z pewnych względów, iż się ubłagać nie daje, lecz przymnaża sobie nienawiści i walkę zajątrza! Wola Boża. Tak więc Samuel z mojej ręki zginąć musi!

Westchnął i wziął się czytać listy.

Zwlekać teraz i przeciągać było napróżno męczarnię skazanego i własną przedłużać, ale Samuela usposobienie zmieniło się było w ostatnich dniach. Stracił nadzieję, upadł na duchu; przychodziły godziny cynicznych, dziwnych zeznań, w których się przed tymi, których za siepaczy uważał, zwierzał ze swej przeszłości, opowiadał o szaleństwach. Wiele z tych powieści rzucało światło na wypadki, dawało poznać braci i ich usposobienia; nie można więc było przyspieszyć speł-

nienia kary, bo Mroczek wielu się jeszcze rzeczy dowiedzieć obiecywał.

Wyciągano go na słowo różnemi sposoby, czasami niedowierzaniem, niekiedy szyderstwem, to znowu łagodnością.

Samuel, jakgdyby już nie do stracenia nie miał, nie tał się z niczem. Dziwna obojętność owładała nim czasami, drętwiał godzinami i zdawał się na wszystko nieczułym.

W mieście tymczasem, nie mówiąc już o tem, co się po kraju działo, panował niepokój i zdania były podzielone. Utrzymywali jedni, że nie mogą Zborowskiego ścigać i muszą mu folgować; drudzy co godzina oczekiwali wiadomości, iż wyrok został spełniony.

W domu na Franciszkańskiej ulicy, tak w pierwszych dniach spokojnym, teraz pełno było i tłumnie. Nie wahał się przybyć marszałek, który na sobie nie czuł żadnej jawnej winy, za którąby go pociągnąć było można. Siedziała Anna ze swą ochmistrzynią, przyjeżdżała Włodkowa, gromadziły się tłumy szlachty i dawnych sług domu Zborowskich, którym się zdało, że przytomnością swą na coś się przydać mogli.

Wprawdzie ruch ten i zajęcie zwracały uwagę na zamek, lecz obawiać się nie miano powodu. Kanclerz miał przemagającą siłę zbrojną i czuwał, a Zborowscy, mimo wszelkich usiłowań i całej swej zręczności, nawet o tem, co się w izbie Samuela działo, mało co wiedzieć mogli.

Marszałkowi donoszono, co poczęści prawdą było, iż na duchu upadł bardzo. Anusia czasem całemi dniami u wrót zamkowych czatowała, udawało się jej nawet za kobietami dworu królowej wcisnąć czasem na zamek i błądzić po podwórkach, ale tu ani przemówić, ani się dowiedzieć niczego nie mogła, a u drzwi burgrabstwa stali żołnierze z halabardami, którzy nikomu nawet bliżej przystąpić nie dawali. Okna tych izb, w których Samuel siadywał, wychodziły ku wałom, były umieszczone wysoko, a jemu się zbliżyć do nich czuwający stróże nie dawali.

Jeżeli więc Anusia, rzuciwszy kilka pytań, czasem popartych datkiem, czego się dowiedziała, było to tak nieznaczącem, iż wnosić nic nie dozwalało. Wiedziała tylko na pewno, że żył jeszcze.

Obok tej troskliwości o ojca, dziewczę miało drugą dojmującą troskę. Poprzysięgło zemstę Wojtaszkowi: dojść, gdzie się on znajdował, obmyśleć środki pomśzczenia się było dla niej obowiązkiem.

— Ojciec zginie przez niego, — mówiła rozogniona — lecz ten zdrajca podły musi życiem przypłacić!

Nie zwierzała się z tem nikomu, ale stara ochmi-strzyni, strzegąca tylko bezpieczeństwa jej, widziała, jak uparcie szła ciągle do celu.

Rozpatrywania się jej szły na karb sprawy ojca, chociaż badała dworaków o Wojtaszka... i pytania jej natrętne nie pozostały bez skutku. Wiedziała już, iż Wojtaszek był przy muzyce zawsze i nigdy się prawie z zamku nie oddalał, że mieszkał też i noc spędzał na zamku z innymi, a na lutni mało kiedy się popisывał, bo nie było go tu słuchać komu.

Parę razy niepoznana, widziała go przemykającego się przez podwórze. Jeden ze sług, przed którym bardzo śpiew Wojtaszkowy chwaliła, powiedział jej, że onby mógł z nim chodzić na miasto, ale od czasu, jak go raz słudzy pana Stadnickiego pochwycili, obawiał się wyjść za bramę.

— Teraz się już przecie niema czego obawiać — odpowiedziała słudze — nauczcie go, aby korzystał z tego, a gdy go zażądają na miasto, nie wahał się iść. Kto dziś będzie myślał o nim.

Słowa te nie zostały stracone. Wojtaszek też sam miarkował, że był bezpieczniejszym. Lepsze czasy dla niego nastać miały, bo, byle się dał słyszeć i poznać, mieszczanie i goszcząca w mieście szlachta chętnieby go sobie sprowadzała.

Wzięcie Samuela i gotujące się stracenie jego na Wojtaszku nie czyniło wrażenia innego, oprócz dawno upragnionej, a nareszcie doczekanej zemsty.

— Przyszła na niego zła godzina! — mówił. — Teraz ja wolniej odetchnę!

Czekał też lutnista wiadomości, że już się wszystko skończyło z niecierpliwością złośliwą.

Wielka boleść nie przeszkadzała Anusi gotować tej zemsty, która na chwilę jej z myśli nie schodziła. Zwierziała się z tego Włódkowej. Z suchemi oczyma szeptała jej niemal za każdym widzeniem się:

— Ojca ja nie ocale, nie! Ludzie są podli, opuścili go wszyscy! Stryjowie też krzyczą, ale nie nie robią i o sobie myślą. Marszałek powiada: — Samuela już niema na świecie, trzeba myśleć o Zborowskich! Tak, ja też biedna z Olesiem nie zdołam nic. Słudzy jego płaczą, jak ja... Kanclerz ma kilkuset ludzi z półhakiem na straży. Ojca ja nie ocale, ale pomszczę...o, pomszczę!

— Ty? na kim? — pytała przestraszona Włódkowa.

— Na zdrajcy, na tym psie Wojtaszku, na tym Judaszu, który nas sprzedał kanclerzowi — mówiła Anusia... — Posprzedawałam moje kanałki, pierścionki, spinki, oddam wszystko do ostatniej koszuli, ale krew za krew!

Włódkowa patrzyła na nią naprzemiennie to ze strachem, to z politowaniem, to z niewiarą.

— Co ty pleciesz, Anusi!

— Nie plotę, wiem, co mówię — przerywało dziewczę. — On zginąć musi!

Siostra nie brała tego za prawdę, ścisła ją i uspokoić się starała, ale Anusi od myśli tej nic odwieść nie mogło, a była rodzoną córką swego ojca!

Gdy wzięła co do serca, upajała się tem do szaleń. Miłość ku ojcu utrzymywała ją ciągle i stale w tej myśli. Cały plan swój miała osnuty. Starzy słudzy w domu na Franciszkańskiej ulicy, opłacani przez nią, ofiarowali się z pomocą chętną. Wszyscy oni nienawidzili zdawna pochlebcy i faworyty, Wojtaszka.

Ściągnąć go tylko było potrzeba na miasto do jakie-

goś ustronnego domu, a starczyło kilku pacholków, aby go zamordować.

Anusia mówiła o tem tak zimno, tak spokojnie, jakby szło o dopełnienie najprostszej w świecie rzeczy; dla niej bo zemsta za krew ojca taką się wydawała.

Oprócz Włodkowej, nie zwierzała się z tego nikomu, a sługi obsypywała pieniędzmi i rozogniała słowami i łzami. Wszyscy oni poprzysięgali, że lutnista im nie ujdzie.

Marszałek, chociaż żadnej nie miał nadziei, aby brata mógł uratować, nie przestawał jawnie starać się, chodzić, pisać i prosić o pomoc kogo tylko mógł pochwycić z bliższych rodzinie. Z jego naprawy jeździli do kanclerza z wymówkami i błaganiami kasztelanowa Jordanowa z mnogim dworem swych przyjaciół, Piotr Zborowski, Zbigniew Ossoliński i kilku z tej rodziny Stadnickich, ilu ich było, z wyjątkiem Stanisława, wojewody wileńskiego, domagając się, aby sprawa na sejm była wniesioną, a nie z dekretu banicji rozstrzygniętą.

Kanclerz wszystkich przyjmował jednakowo, mówiąc, że nie może nic, bo to prawo samo rozkazuje, a on tylko spełnienia jego pilnować ma obowiązek. Ks. biskupowi krakowskiemu otwarcie wyznał, że królewska też woła była, aby winowajca zuchwały, który się i na jego życie odgrażał, dla przykładu drugim został ukarany.

Łamał ręce biskup, przewidując, że król z tej surowości pożytku mieć nie będzie, lecz Zamojski więcej już nic uczynić nie mógł.

Takie było wogóle usposobienie niemal całego narodu, iż Samuela, którego większość potępiała niedawno, raczej ocalonym, niż ukaranym widzieć chciano.

Surowość króla przestraszała.

Może, gdyby przebaczył, wołanoby przeciwko niemu za bezkarność, naganianoby powolność, ale teraz ganiono bezlitością surowość.

Przyczyniało się do tego przewidywanie burzy i rozdwojenia w narodzie.

Nieprzyjaciele Samuela nawet widzieli w nim szlachcica, męża imienia znacznego, który miał ginąć, jak prosty złoczyńca, co całemu stanowi szlacheckiemu czyniło zakąłę. Nie godziło się dla potomka takiego rodu osobnego zwołać sądu i dowieść mu winy? Banieja była tylko w oczach większości pozorem, gdyż przez długie lata wcale z niej nie korzystano.

Wszędzie od dworów szlachty, do browarów miejskich, w których nad kuflami piwa siedziało mieszczaństwo i rzemieślnicy, rozprawiano o Samuelu, opowiadano jego bohaterstwa na Niżu i gwałty, popełniane w domu. Kraków sam widział ich niemało.

Gawiedź jedna znajdowała, że król był sprawiedliwym i nie powinien przebaczać, druga się w nim obawiała tyrana.

— A co będzie z nami, gdy mu który choć palca zakrzywi, kiedy on takiej szlachcie nie folguje?

A z kazalnicy u dominikanów ojciec Czesław grzmiał i piorunował przeciwko zepsuciu obyczajów i rozpuście, ukazując, że prędzej czy później na najdumniejsze głowy spadają pioruny i najwznioślejsze dęby gruchoczą! Malował on występnego łotra tak żywymi barwami, że każdy ze słuchaczy poznawał w nim z łatwością tego więźnia, który na zamku czekał wybicia ostatniej godziny.

V.

Wlokły się te dni męczeńskie, stając się Samuelowi wiekami. Niepewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście się z nim Mrocza, Sernego, Urowieckiego było tak niezmiennie jedne, że z niego się nic domyślać nie mógł, oprócz, że żadnej, a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierza mówili mu szydersko:

— Nie durz się, Samusiu, nadaremnie. Głowa twoja musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnem napozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nekowania nawet silnego, jak on, złamać wkońcu musiało. Każdy ruch żywszy na burgrabstwie, hałas, brzęk kluczków, głośnie rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się coś zwiastować.

Po takim strachu gwałtownym, który w sobie tańczył, usiłował, popadał w apatię i nieczułość, wracał do swych dumań o przeszłości. Oswajał się z tą myślą o śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnawszy.

Zawczasu przychodziły mu myśli dzikie. Ozwał się raz do Mrocza, pokazując mu szytą chustę jedwabną, bardzo piękną, którą miał w podarunku od chana tatarskiego.

— Mroczku mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć jej u waszечи nie mam. Widzisz oto tu szytą chustę? Proszę ja ciebie i zaklinam, jakoś szlachcic polski: gdy mi kat głowę utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi, Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pomścił pamięć ojcowską.

Mroczek zmilczał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj!

Przyciśnięty rotmistrz wyjąknął półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel nieraz, gdy siedzieli w komorze długo milczący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczynała rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz skazany musiał się widzieć niemal równym siepaczom. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przyszłość względu.

Mroczek sobie szczególnie pozwalał.

— Co ty, Samusiu, skarżyć się jeszcze będziesz, albo co, że ci łeb zetną? A mało tyś ich porąbał i w śmierć posiekał? he? policzno się?

Zborowski, nie burząc się wcale, powolnie liczył na

palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jakby sam dla siebie wyliczał zkolei, obojętnie nazwiska jedne po drugich. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć... nie zważał na nich.

Ponieważ wiele z tych historyj Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedną z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy, dał niedźwiedziowi na pastwę, rozповідаł im tak spokojnie, jakby za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! — mówił. — A kto go wie, czy on sam szlachcic; więc to policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja mu się dałem rozprawić z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko, że nie udusił. Niedźwiedź go podrapał, a ten, za gardło ścisnąwszy, tylko, że nie zadławił...

Z tą samą obojętnością rozповідаł o przygodzie swej z dominikanami.

— Jeden z nich, prawda, że niewinny był, — dodawał — ale łąjał mnie szpetnie, a ja tego nie znoszę.

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało i łzy pobiegły z oczów. Trepka przypominał mu żonę, a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem, gdy sam na sam siedział z Mroczkiem, starał się coś dobyć z niego, dowiedzieć o rodzinie, o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz składał się nieświadomością zupełną.

— Ja stąd krokiem się nie ruszam, noc i dzień, jak widzicie — dodał Mroczek — nic nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litośćby też choć dzieci do mnie puścić powinni, — mruczał — żebym ja jeszcze Olesia mógł uścisnąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłacze, biedna...

— A co się tam dziać musi z Włódkową — myślał dalej i myśląc, pocieszał się tem, że ona prędzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach, w których rzedzie stali naostatku panowie bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoly i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły — mówił — a to zmarnieje... Moje ptaki króla warte, ale nie takiego, jak nasz; ale to Olesiowi się teraz nie zdało, zabierze pan Andrzej i pożytku z tego mieć nie będzie.

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po wspomnieniach swoich, uśmiechał się i płakał. Jeszcze niekiedy krwi a zemsty mu się zachciewało, osobliwie, gdy Wojtaszka przypomniał; ale pocóż się teraz było marnie jeść pragnieniem, które ziścić się nie mogło?

— I przez niego mi ginać przyszło!! — mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz badać go o listy, znalezione w szkatułce, którą ludzie ze Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczem nie wiem! Do żadnych spisków nie należałem! — wołał. — Czyż to moją winą, że podczaszy pisał: *Rex, si hoc nomine dignus*. On jest sługą cesarskim, a nie poddanym Batorego... Mógł sobie pisać, co chciał i myśleć, co mu się żywnie podobało! Winy na mnie za to kłaść się nie godzi; nie jam pisał... na mnie dowodu żadnego niema!

Kanclerza bezprzestannie oblegano; rodzina, przyjaciele, domownicy, tak, że się pokazać nie mógł i wkońcu znecierpliwiony, nikogo nie dopuszczał do siebie.

Natenczas pismami go zarzucać zaczęto gwałtownemi i pokoju mu nie dawano, przez najobojętniejszych ludzi starając się mu doręczyć je.

W pismach tych dowodzono, nie bez pewnej podstawy, że uwięzienie banity starczyło i że na gardle go karząc, szedłby kanclerz dalej, niż prawo chciało, bo Zborowski nie był ani *infamis*, ani *in recenti crimine*

captus (na gorącym uczynku). Sejm więc powinien był o dalszem jego rozstrzygać losie.

— A nie dufasz li — mówiono — zamkowi krakowskiemu, my tobie dla pewności i bezpieczeństwa zapiszemy się i zareczymy, jako chcesz. A nie może li to wszystko być, prosimy, abyś tylko zaczekał i tyle nam tylko czasu dał, abyśmy do króla jegomości jechali, a od samego króla jegomości wyrok słyszeli.

Wiedział bardzo dobrze Zamojski, jakiego król usposobienia był i że to wszystko już nic pomóc nie mogło, nie przypuszczał więc nikogo do posłuchania. Na mieście powtarzano, iż wyrazić się miał z powodu tego niepokoju i poruszenia umysłów.

— Fraszki to są, a ja się na fraszki nie oglądam, bo Polacy są piwem, które kisa (burzy się) z początku, a potem za wodę stoi; ja zaś, mając władzę i urząd, na nie tylko oglądać się muszę.

Mówiono, że się na jednych Zamojski odgrzązał, drugim starostwa obiecywał, aby milczeli, a krewnych namawiał, aby się daremnie za Samuelem nie ujmovali. Ponieważ słudzy, jak Borowski, Luzicki i inni, gwałtem się na burgrabstwo parli, wciskali, przekradali, ich kazano łapać i ścigać; stąd nowe na kanclerza krzyki i potwarze, iż na gardle chciał niewinnych karać.

Ile naówczas ucierpiał Zamojski, wyrazić trudno, a nie dziw też, że wiedząc o woli króla nieprzelamanej, rad był co najprędzej wyrok spełnić i koniec temu położyć.

Księdza biskupa krakowskiego, który z obowiązku chrześcijańskiego nie mógł interwencji swojej odmówić, musiał raz jeszcze przyjąć Zamojski i wysłuchać prośb i zaklęć daremnych.

— Ojciec mój — odparł wzruszony razem i zniecierpliwiony, całując ręce pasterza — nie moja w tem wola. Ja stoję pod rozkazami króla i prawa, a oboje mnie zmuszają nie folgować winowajcy. Nie przypisujcie tego mnie, co mi tak twardem jest do spełnienia, jak Zborowskiemu będzie do poddania się.

— Ale król? król? — zapytał biskup. — Byćże to może, aby się chciał okazać tak okrutnym?

— Okrutnym nie jest, — rzekł Zamojski — ale mu krwi napsuto wiele. bluzgając w oczy wyrzutami niesprawiedliwemi, a ma to przekonanie, iż dla dobra Rzeczypospolitej zuchwalstwo i warcholstwo wszelkie ukrócić potrzeba. Na Zborowskich zaś ciężą tak jawne winy, iż na życie króla godzili, że przeciwko niemu nieustając spiskowali.

Biskup, ręce załamawszy, płakał cichemi łzami.

— Wiem, iż wy nie jesteście sprawcą, — odezwał się — wiem, że gdybyście mogli, zażylibyście powolności, bo umysły są srodze zażarte, burza powstanie... żal mi więc was, bo nie kogo, jak Zamojskiego, o tę głowę obwinia.

Kancelarz nie odpowiedział; był od początku na to przygotowanym.

Tymczasem wnet po biskupie pani Spytkowa, prosząc i wołając, znaczną liczbę rycerstwa zgromadziła, która koło uczyniwszy z rozgłosem wielkim iść chciała gromadnie do hetmana. Zapowiedziano im, że nawet do zamku przypuszczeni nie będą. Spisali więc zaraz notę... i oddali ją Piotrowi Zborowskiemu, który u hetmana wielkie zachowanie miał, ale z innymi Zborowskimi nie trzymał.

Nim się rycerstwo znowu rozjeżdżać zaczęło, podniosło przeciwko hetmanowi krzyk wielki, gdyż u bram zamkowych ktoś im powiadał, że tłumne najście na Wawel hetman trzymał jako tumult i rebelję, i gotów był kazać łapać i więzić, gdyby się zuchwale stawili.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższego stopnia, a dłużej w tym ogniu i ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nie się już nie przydało.

We czwartek przed św. Tróją, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze znużenia i niepokoju upadając niemal, postanowił dekret kazać spełnić. Im się dłużej ciągnęło, tem rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że zapaleńsze głowy

rzucą się na jaki nierozważny gwałt, który może się stać przyczyną daremnego krwi rozlewu.

Samuel się tego spodziewał i choć momentami nadzieję miewał, prędko go ona opuszczała. W początkach też widząc, że tu Urowiecki wszyskiem kieruje i nad Mroczkiem i Sernym zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowionem zostanie, prosił go, ponawiając często żądanie.

— Urowiecki, jakieś poczeiw, będziesz li wiedział co i kiedy mi przeznaczone, nie omieszkaj na kilka dni wprzódę dać mi znać! W podróż tę przygotować się jużci muszę, bo na duszy niemało mam... Nie dajże mi nieprzygotowanemu stawać na sąd Boży!

Urowiecki mruknął, przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myślą żadną nie wywnętrzał zawczasu, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był.

Dopiero w ten czwartek wieczorem, kazawszy do siebie przywołać Urowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim... w piątek, albo li w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnąwszy, hetman dodał:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dał. Niesposób go ocalić...

Urowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnem było, — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dydydentem się głosi, księdza nie weźmie, a ma li się darmo myślami nękać, poczekaj... Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Na tem stanęło.

Urowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przyłęckiego chodząc, nosił z sobą wyrok na twarzy i mi-

mowolnie się zdradzał, tak, że Zborowski, choć nie mówił nic, miał już przeczucie zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek, gdy godzina była na noc, wszedł o porze, w której nie zwykł był do Samuela przychodzić Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się, w komorze go czując, Zborowski... Szedł ku niemu ze spuszczoną głową Urowiecki, mileżeniem mówiąc więcej, niżby mógł usta. Stanął z jakąś uroczystością przed więźniem.

— Samuelu Zborowski, — rzekł poważnie — wiedzieć masz o tem, że gardło dasz... Wola jest króla jegomości i naszego miłościwego jegomości pana kancelerza, jutro co najraniej...

Opodał stali Mroczek i Serny, którzy do tej godziny, choć się może domyślali czego, nie wiedzieli nic na pewno.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką dotąd okazywać się starał. Stał się bladym bardzo, głos mu drżał.

— Urowiecki nieboże, — zawołał z wyrzutem gorzkim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznajmić i przyrzekłeś, a słowa nie dotrzymałeś. O sumienie mi moje szło, o duszę, bo nie gotów, aby przed majestatem Bożym stanąć, a chciałem w siebie wnieść i przejednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiedział na uniewinnienie.

— Sługą jestem pana kancelerza, — rzekł — ten mi teraz dopiero oznajmił i odnieść wam kazal... Nie mogłem inaczej...

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na nie i twarz zakrył dłońmi, a pozostał tak chwilę nie małą.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ówczesne dysydentów i reformatorów naśmiewania się ze wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów i prawideł życia wciągnęły go też na tę drogę, iż kościoła nie znał, a modlić się zapominał. Ale z dzieciństwa mu

coś pozostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo.

Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół i predykantów niewiele się mógł spodziewać pociechy.

Straszliwa trwoga jakaś go ogarnęła nie ziemskiego niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu, jaki go miał spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniejsze wydawały mu się występniemi, a wiara pierwsza jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą wykopało życie. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, ani by wiedział jak. Zborowski zwrócił się żebrzącym niemal głosem do Mrocza.

— A! mój miły Mroczku... przebóg! proszę cię, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź ode mnie, nie śpij tę noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał tęskno.

— Pewna to rzecz, że na potępienie zasłużył, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie przyjdzie, a znajdzie li je u niego?

Mroczek, litością zdjęty, odparł:

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożem nigdy rozpaczać nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Potem nie słyhać nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tem sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzył już ani na Urowieckiego, ani na Mrocza, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczny uchwata, a ulituje się — począł cicho. — Jednak miano ze mną tak postąpić, należało chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi

czas do skruchy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastało milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza, że to było pod noc, sprzęt wszelki stał jako pozostał po dniu, bez ładu i porządku. Na stołach leżały odzież i pozapominane miski, na stole napoje porozlewane, kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawałki. Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mrocza:

— Proszę cię, niechaj tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś, powstawszy, zaczął zaraz zmiatać, sprzątać, układać, co mu się nie zdało, w kąć rzucać, stolki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łoża pana Samuela przygotował, można się było domysleć dla kogo.

Milcząco na te przygotowania patrzył Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mrocza śledziły, a usta mu się ścigały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... Odezwała się duma i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo niewidomy go ścigał, teraz zwyciężcą, mogącym się naigrawać i triumfować...

Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Tchnął ciężko, a nie strzymał ust. Obrócił się do Mrocza.

— Widzę, że wszystkiego mu mało; chce mnie smażyć jeszcze, niżeli umorzy. Ale na to ratunku innego niema, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznem było, że się straszliwie męczył; z czoła lał mu się pot, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu

występował; na miejscu siedzieć nie mogąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga o Zamojskiego ustąpiła, a dawna o duszę wracała.

Z ust mu się wyrывało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, ukończywszy uprzątanie, siadł opodal trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serceby się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a wkońcu ryknął płaczem wielkim.

Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łoża krzesło, dla kancлера przeznaczone i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mrocza:

— Mroczku mój! powiedz mi, ja głowę tracę, za prawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego ręku jestem... Jak ja z nim być mam, co czynić? jak mi radzisz?

— Nie potrafię radzić — odparł rotmistrz. — Bóg widzi!

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie, — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem, co pocznę. Nuż go obrażę! Nie chciałbym, a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczał; tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczku mój, odezwij się choć słowo, jak ci się zda?...

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Choć go tak odprawił, Zborowski nalegał.

— Mroczku, co ja z nim mówić mam?

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek, odsuwając się nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie się skończyły; nie nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi dało się słyszeć stąpanie; Zborowski, trwożnie się poruszywszy, podniósł głowę, śnać już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, pół-hak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski, — rzekł — gotujcie się. Jego-mość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski.

Myśliborski, pokorny sługa, nie znał nic innego, tylko:

— Co? Do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już dały się słyszeć gwałtowne stapania, szepty i szczeł żelastwa; otworzono drzwi naoscież i w nich ukazał się Zamojski, odziany jak był dnia powszedniego, z kolpaczkiem na głowie z czaplem piórkim, które wówczas, za królem idąc, noszono. Szablę miał u boku.

Twarcz hetmana wyrażała spokój, a majestatem sędziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie, choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojenstwa, niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z półhakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel wstał z łoża i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak, że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawsi...

Zamojski rękę wyciągnął, jakby mu nie chciał się dać zbliżyć i zamruczał tylko:

— Nic mi potem... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łoża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na niem. Z za sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! Czytaj je sobie; masz dać gardło!

Zborowski na listy ani spojrzął, i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję; czyńcie ze mną, co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumął, czoło mu się fałdowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idziesz przed majestat Boży, już

się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwem być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twej zostanie. Teraz ci już niecnota, braciszek twój, Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilezał, choć chciało mu się stanąć w obro- nie brata, a no — nie pora była. Trwało z obu stron mileczenie.

— O cóż wasza miłość pytać mnie raczysz? — ode- zwał się Zb rowski.

Kancelarz podniósł oczy.

— Jaki to do ciebie list Krzychnik pisał? Co on sobie o królu myśli? he? O onym trojeaku też mi po- powiedz... przeplonię ja mu trójęc i samemu jemu się dostanie.

Przystoi to senatorowi cyframi pisać do brata? Al- bo to nie jest podejrzane, zdradzieckie, nieprzyjaciel- skie pisanie? Toć każdy rozumie, że gdy się co taić chce, tam już dobrego być nie może. Ja to sobie z nim do sprawy na sejm zachowam.

Stoi w tymże liście: *Rex, si hoc nomine dignus!* a to nie cyframi, ale prostem pismem ku świadomości wszystkich. Dalej: „Niżowcy się przydadzą“, i to nie- małe ma znaczenie, boś ty do nich jeździł, a podez- azy twój i marszałek listami ich obsyłali, a jednaliście ich sobie. Potem te wasze zjazdy, narady, coście się od oczu ludzkich zdala, w waszem gniazdku niecnotli- wem zbierali i potajemnie radzili? Cóż ty na to?

Sluchał pan Samuel, rozważając, co powiedzieć miał, bo tu już nikogo mu bronić nie potrzeba było, krom siebie samego.

— Mamże ja za to odpowiadać, — rzekł — co kto do mnie pisał? Jamci tego nie dyktował, anim rozu- miał często, co znaczyły cyfry i słowa... nie odpisywa- lem mu... nikt tego nie dokaże. Niżowcy się sami do mnie napierali i jeździli wielokroć, a ja do nich raz tylko i to przeto, żem ich na usługi króla i Rzeczypo- spolitej ująć chciał. Nie czynilem z tego tajemnicy. W tem winy żadnej upatrzeć się nie godzi. Służyłem

panu, a nie komu innemu, a siła takich jest, których wymieniać nie chcę, co cudzym bogom służywali, a przecież ich potem nagradzano i opatrowano... Jam nikomu nie służył.

Teraz też, kiedy na Tekinię szli Niżowce, ślali do mnie, powiadając, że to była przysługa królowi jego-
mości, ale gdym usłyszał, że to było nie w myśl królew-
ską, nie przyłożyłem się do tego najmniejszą rzeczą,
a żadna rzecz mnie od tego nie odwiodła silniej, jak
właśnie ów list pana Krzysztofa.

Wreszcie, co się tyczy naszych zjazdów i narad, tak
w izbach i komorach naszych, jako podczas i na tra-
wie w lesie, z czego mi grzech czynicie, Bóg to wie, iż
my trzej bracia młodszy radziliśmy się tam z okazji
we cła waszej miłości. Spodziewaliśmy się przy okazji
tej przyjsć do łaski jego królewskiej mości, zwłaszcza,
żeśmy mieli obietnice miłości waszej, nietylko słowne,
ale na piśmie.

Omyliłaby zaś nadzieja łaski, radziliśmy się wy-
przedać z Polski, a innego łaskawszego pana szukać
sobie, wreszcie krzywd naszych się pomścić, ale go-
dziwie i przystojnie, choćby i na miłości waszej, gdyby
się okazało, że byliście przyczyną nienadziei.

O królu tam ani mowy, ani wzmianki nie było naj-
mniejszej; w myśli nam nie powstało przeciw niemu
knować. Wreszcie się na tych radach nie postanowiło
nic, bośmy czekali na pana gnieźnieńskiego.

Ja potem do Złoczowa jechałem i nie powracałem
już do nich, bracia zaś z pogrzebu wojewodziny kra-
kowskiej pojechali do Krakowa. Do mnie zaś pisali,
uspokajając, że i u króla, i wszędzie dobrze będzie, że
się niema czego obawiać.

Co się tyczy pana marszałka, brata mego, na któ-
rego wasza miłość też masz podejrzenie, jakoby co
złego zamyslał, ten nikomu nie nie winien, o podejsciu
nieprzyjaciela nigdy nie myślał; poznać to miłość wa-
sza później, że prawdę mówię. Czysty jest.

Gdy to mówił Samuel, Zamojski podczas się uśmie-
chał, ramiona zżywał, ręką po kolanach uderzał, da-

jąc różne znaki niecierpliwości i nieufności; przerywał kilka razy, a potem zawołał głośno:

— Wszystko to marne jest i stracone, bo choć pytam was, wiem ci lepiej i mam w ręku dowody i ludzi żywych, co świadczą. Złe czynicie, że mi taić chcecie, bo się to na nic nie zda, a Krzychnikowi nie posłuży, ani marszałka oczyścicie, bo ten gdyby inaczej myślał, z nimby nie obcował.

Przystaloby wam w tej godzinie, sprośności się tych wyrzekłszy, ze skrucłą wyznać, co się przeciwko królowi zgrzeszyło. Waszego Krzychnika nie już nie uratuje, bo jawny zdrajca jest, a marszałek, choć się listami nie wydał, toż samo myślał, co ten pisze, a co wy czynić chcieliście.

Przecież nie tajno nam, żeście się z Ciołkiem zma-wiali do króla strzelać, żeście się nie jeden raz chwalili trafne mi strzałami do wróbli i o lesie, i o gospodach myśleli, gdzieby lepiej zasiaść było, a łatwiej potem uciekać, gdyby rusznica chybiła.

Mówiąc to, kanclerz coraz goręcej głos podnosił i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreszcie dłużej wytrzymać nie umiejąc, zawołał:

— Przez Bóg żywy! dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach waszych, czyńcie, co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć, niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechcecie, a no duszy mej nie zabijajcie. Proszę was o ministra!

Kanclerz głową poruszył.

— Tego noga na zamku nie postanie, bo ja go za sługę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko ruszył.

— Więc wždy o kapłana, jakiego chcecie, proszę, z którymby na końcu tego żywota mojego o Bogu mógł mówić, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza po-

działały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając się, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel padł na łożo wysiłony i znękany. Zdawało się skończone wszystko, ale na tem nie było jeszcze końca.

Znowu tedy otworzyły się drzwi i wszedł z papierami w ręku pisarek, który tu już nie jeden raz bywał, ciągnąć inkwizycje z Samuela. Zwał się Bech, a był podręczny Heidensteina i mieli go tam za zręcznego, bo się chwalić umiał, ale krom chytrłości rozumu wiele nie miał.

Ten przystąpił do Zborowskiego.

— Masz li cokolwiek cnoty i poczciwości, Zborosiu — rzekł, opierając się na stole podług niego — powiedz mi, o co cię pytać będę.

Wtem otworzył pismo, które Samuel mógł poznać, iż było listem Krzychnika, który Wojtaszek zdrajca wykradł i oddał Cobarowi.

Począwszy je czytać, Bech coraz sobie głupim uśmiechem przerywał, patrzył w oczy Zborowskiemu i wołał:

— A co? a co?

Ale Samuel nie odpowiadał wcale, dał mu list przeczytać cały i rzekł:

— Nic na to nie mam do powiedzenia, co w liście stoi. Mniemajcie już sobie i trzymajcie jako chcecie.

Czekał jeszcze Bech, czy nie wymoże cokolwiek, zagadnął z listu o jedno i drugie, co znaczyć miało, bo osób, o których była mowa, nie mogli dojść, ale Zborowski nie dał z siebie dobyć słowa.

— Raz mnie już w pokoju zostawcie — zawołał. — Kiedyż tym inkwizycjom koniec będzie? Mielście na nie kilkanaście dni, a teraz mi ostatnie godziny odjąć chcecie? To okrucieństwo nadaremne, a ja czasu do stracenia nie mam.

Bech, widząc, że nic nie dokaże, zwinął papier ze złością wielką i zawołał:

— Nie dla tego listu cię tracą, to sprawa pana Krzychnika, który na sejmie odpowiadać będzie... je-

zeli go też ułapim, a nie, to i zaocznie sądzić go dadzą. Nie dla listu was tracą, te rzeczy tu nie należą, ale z urzędu starościńskiego kanclerz nad wami moc ma. Przeto nasz pan miłościwy, na nic się nie oglądając, jedno na świątobliwe sumienie swoje, skazuje cię na śmierć ściętą, jutro co najraniej, bo jesteś banit, a śmiałość mieszkać w Koronie!

Na ten wyrok, ogłoszony tak sumaryjnie, Samuel już słowa nie rzekł, aby rozmowy nie przedłużać i czasu nie marnować. Bech czekał, kręcił się, szedł ku drzwiom powoli, na Mrocza spoglądał, naostatek do drzwi przyszedłszy, otworzył je, rzucił niemi i wyszedł.

Zostali z Mrocziem sami, bo Serny się był oddalił i jakiś czas trwało milczenie. Zborowski musiał spocząć, bo indagacje te gwałtowne z takim nań impetem padły, że je wydychać musiał, choć po głowie wily mu się myśli, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplątać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek, jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych łez skruchy, ocierał je śpiesznie, a oczyma szukał Mrocza, czy on to widział, lub nie. Rotmistrz zaś, litość mając, udawał, że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wąsy jeszcze ocierając po piwie, i usiadł podle Mrocza, szepcąc mu coś na ucho. Czekali, co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jakby szukał czegoś... Dobył swą chustę od chana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

VI.

Sądził Mroczek, że póki rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę, bo już kilka nocy mało co spluszczył oczy, nie usypiając, wtem Zborowski zwrócił się do niego:

— Ach, miły Mroczku mój! Widzę, że ci się spać chce, ale uczyn to dla mnie, proszę cię, nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, tyś świadkiem i przed Bogiem, i tu na ziemi do wszystkiego, co czynić mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga, na prawdę, a na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem zaczął prosić o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając tylko sobie westchnieniami, a niekiedy o czoło się uderzając. Więc pisał tak a mazał, aż wszystek papier zappełnił, a było go niemało, pospołu i woli ostatniej, i żalów nad dolą swą, i słów do dzieci i rodziny. Pisanie to przeciągnęło się czas niemały, późno prawie w noc; a dokończywszy, porwał się z siedzenia niespokojny.

— Zmiłujcie się, księdza sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, to jakiegokolwiek bądź chrześcijańskiego kapłana, z którymby o Bogu mówić mógł, a na śmierć się przygotować!

A Mroczek rzekł:

— Późno jest. Skąd go tu wziąć? I niema po niego kogo posłać.

Załamał ręce.

— Zlitujcież się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie: poślij go, to mu nagrodzę. Niech pierwszego, jakiego spotka przywiedzie, albo lĩ do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu było wrazić to, o co szło i kędy miał iść.

Co się tedy potem stało, wersje krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten zaledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza zakapturzonego w czarnym płaszczu napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę mu kładnąc na ramieniu, rzecze:

— Księdza szukasz?

— A wy skąd o tem wiecie? — spytał strwożony.

— Wiem, bo mi o tem oznajmiono zgóry; księdza szukasz dla owego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec, żegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie — nakazująco dodał mnich. — Przodem idź!

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylekły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, mnich ciągle jeszcze miał kapturem twarz przysłoniętą i tak się do izby wsunął, w której Zborowski modlił się, krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że leżenie krzyżem u dysydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tem nie wiedząc.

Gdy mnich przy nim stanął, a Samuel z ziemi powstał, dopiero kaptur czarny zrzucił na ramiona. Twarz jego zobaczywszy, cofnął się Zborowski z krzykiem.

— Tyś jest!

A mnich stał i oczyma tylko go jakby nawylot bódł. Nie mówił zrazu nic.

— Jam jest... ja! Bo sprawiedliwość Boża cuda czynić umie, — rzekł mnich — jam jest, któregoś pokrzywdził niesłusznie, wystawił na urągowisko, smaگاł i znęcałeś się nade mną. Jam jest, a na ciebie przyszła godzina też, że ci się urągają, smaгają, znęcają, i że podlejszym się stałeś ode mnie. Na kolana, grzeszniku zatwardziały!

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? Okaż skrucę, ukorź się — mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział, co pocnie, stał, a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzódy — odezwał się.

A mnich mu przerwał zaraz.

— Co? O religji kontrowersje wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Klękaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik i zbójca, i zbrodzień gorszy od tych, co z katowskich rąk gi-

ne!... Znam ciebie i uczynki twoje. Idziesz przed majestat Boży, obmyj się... godziny, minuty i technienia policzone.

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz. Jako był przed chwilą pokorny i skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, dobył z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abyś mnie objaśnił — rzekł dosyć łagodnie — przyjdzie li do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś, tej tergiwersacji znieść nie mogąc, głos podniósł.

— Duszy więc nie ocalisz, gdy djabłu na pastwę przeznaczoną jest, bo pokuty nie chcesz, bo ukorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przede mną, ale przed Bogiem-byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu, — wtrącił Samuel — niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam — począł o. Czesław. — Tyś gorszy od niewiernych, bo tamci Boga nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałaś Go, a zaparłeś się. Sprzedałeś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Niema dziś na tobie miejsca bez makuly, ani zdrowego nic, gdzieby zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczono jeszcze w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jęknął Zborowski.

Potem już księdza nie słuchając, ani na niego nie patrząc, jak stał, tak jęcząc coraz głośniejsze i szlochając, rzucił się na podłogę i krzyżem leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc powiadał, że mu się robiło tak, jakby na cud jakowy patrzył.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i pokłękł, półgłosem rozpoczynając modlitwy.

Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się spływało razem dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa, łagodnieć poczęła i wyjaśniać się.

Trwało to niemało czasu. Nie patrzył, ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miało się już na brzask, gdy Samuel jakby usypiał, uspokajać się zaczął, ale jako żywo nie spał.

Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długo, potem rękę podniósł i żegnał, aż nareszcie wstał, kapłur na głowę narzucił i wyszedł.

Samuel zaś, znacznie uspokojony, pozostał tak na ziemi, do siódmej godziny rano.

Na burgrabstwie ruch się już poczynął, dzień się zrobił.

Jeszcze leżał, gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nic więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź!

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze, gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się, musieli stać i czekać.

A stąd właśnie kościół widać było. Staął Samuel i jał prosić.

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój, czy nie mój kościół, przecież i w tym Pana Boga chwałą, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękło.

— Niech i tak będzie — rzekł. — Idź przed się, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich wychodzący właśnie z kościoła kanclerz. Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań...

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię tracę, odpuść mi!

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał, powtarzając:

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawo cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę — wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla Pana Boga cię proszę, Samuelu... przez Imię Jego, odpuść mi!

Samuel, który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadnąłeś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi, co słyszą, żem ci ja nie winien, bom nie czynił na wzgardę dekretów i praw nic, anim przeciwko poczciwości występował. Powołuję cię przed sąd Boży sprawiedliwy z sobą.

Kancierz, wysłuchawszy, odszedł, a Samuel niedaleko od proga w kościele pokłakłszy, modlił się gorąco, aż sam potem mężnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatary za furtkę ku Stradomiu pod Lubrankę, na ten plac, kędy od czci odsądzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla większej zniewagi.

Blanki i plac wszędy gęsto był obsadzony ludem, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć.

A jak był nocą omdlały i w sumieniu niespokojny, tak teraz mężnie bardzo sobie poczynął i prawie bohatercko na tę śmierć szedł i patrzył. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i stąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło. Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu:

— Hej miły Boże, gdzież bracia moi mili, gdzie przyjaciele, gdzieś słudzy, czemu ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nie!

I stojąc tak już w jednej koszuli, Mroczkowi podał chustę.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmocz-że ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł:

— Panie Zborowski, pora myśleć o czem innem!

Stał tuż kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a wtem miecz dawszy pacholcowi w ręce, jakby czegoś zabył, wszedł między ludzi, a na jego miejscu oprawca, pomocnik został tylko. Tego Samuel dostrzec nie mógł i mówił do pacholka, sądząc go katem.

— Już mi na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę; ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę cię więc, abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero, gdy raz trzeci rzeknę: Jezus, dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monetę odkazuję.

Gdy to rzekłszy, położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony lub przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go aż później w kościele.

Leżał tedy Samuel, a modlił się... i rzekł raz — Jezu.

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków, na których kanclerz stał, znaki im dawano i pan Stanisław Żółkiewski i innych wielu.

— Zawołał drugi raz — Jezus — a tu kata nie było, hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł — Jezus.

Pacholek zaś nieopatrując się, nie podniósł miecza aż Zborowski obejrzał się i zawołał:

— Cóż czynisz?

Pacholek zaś, nieopatrując się, nie podniósł mieżęcznie uderzywszy w szyję, kęs pleców też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Urowieckiemu, który przelektły przed nią w bok uchodzić musiał i nierychło się uspokoił, bo ludzie, patrząc na to różnie wróżyli.

Czasu tych kilkunastu dni więzienia Urowiecki sobie często bardzo ostro poczynął z Samuelem, liłości

mu nie okazując, jak Mroczek, który szorstki był i grubjan, ale serce miał.

Taki był koniec onej tragedji Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk niemało przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Prosta, z sosnowych desek zbita trumienka już była zawczasu przygotowaną, w którą ciało, jak leżało, wrzuciono, zaraz i głowę też, a krew jeszcze z nich ciekła; potem nakrywszy ledwie, postawili ją oprawcy u furty przy małym domku, który przekupka trzymała. Nie chciano ciała zabierać i grzebać, aby nie wywoływać jeszcze większego gniewu rodziny, któraby się była o zwłoki upominała.

W mieście zrazu, zwłaszcza, że godzina wczesna była, nikt nie wiedział, że tego dnia miał być tracony, choć się spodziewano tego z dnia na dzień. Ci, co słyszeli wczora, nie wierzyli, gdyż nieraz ich gadanie zawiodło.

Zazwyczaj słudzy Samuelowi przychodzili na zamek do burgrabstwa, choć ich do pana puszczać nie chciano, przynosząc różne rzeczy, których mógł potrzebować. Przyszli więc i dnia tego pod furte do chaty, przed którą przekupka przy kołowrotku siedziała. Był i Luzicki z nimi. Zbliżali się już do wrót, strażnicy chcąc pytać o pana, gdy stara ich zawołała.

— Co, o pana pytać macie? — rzekła. — Stracili go dziś na zaraniu, a oto trumna jego tam stoi i krew z niej płynie.

Krzyk i lament stał się wielki, a Borowski z Luzickim rzucili się zaraz ku trumnie i gdy odjawszy wieko, ujrzeli leżącą na wierzchu odciętą głowę, popadali, płacząc, na kolana.

Lament powstał, bo innych też ciekawych zebrała się kupka, a za tymi biegli i inni, widząc, że się ludzie gromadzą; cisnęli się ciekawi, drudzy pobiegli na Franciszkańską ulicę dać znać, aby ciało zabierano do pani krakowskiej, która umyślnie dla sprawy Samuelowej

w Krakowie mieszkała, do pana wojewody kaliskiego i do innych przyjaciół.

Można śmiało powiedzieć, że w tej godzinie przyjaciół miał tylko, bo się wszyscy na okrucieństwo oburzali. Wnet po ulicach, po rynkach rozeszła się wiadomość, że Zborowski został ścięty; nie wierzyli jedni, rozpaczali drudzy, na kanclerza bij zabij wszyscy, czemu go do sejmu nie chował!

Kancleńskim ludziom ani się było można pokazać w ulicach, bo ich ścigano, oprawcami i zbrojami na nich ciskając, tak, że kryć się musieli.

Zbiegowiska się zaczęły tworzyć znaczne po ulicach i rynkach, a kto mógł, biegł pod Lubrańkę, żeby się na własne oczy przekonać, iż prawdą było, co mówiono.

Około trumny ludzie pani krakowskiej, marszałka i Stadnickich, stanawszy kołem, nie dopuszczali ciekawych, a czekano na panią krakowską, która sama się ofiarowała przeprowadzić ciało.

Nadeszła też poważna pani, cała w czerni i kirze, a z nią Włodkowa od łez czerwona i jak oszalała, i Anusia blada, a tak straszna z tego wewnętrznego gniewu, który nią miotał, że ludzie się do niej przybliżać nie śmieli. Ta płakać nie mogła, usta tylko do krwi gryzła.

Luzicki, Borowski, Morawa wzięli ona trumienkę na ramiona i nieśli ją aż do kamienicy wojewody kaliskiego, a przez całą drogę krew strumieniem się z niej wylewała; tak że i deski, i tragarze byli nią obluzgani. Tu w dolnej izbie na prawo złożono ciało na łożu, obmyło, oczyszczono, ubrano przystojnie, ale musiano pozostawić do trzeciego dnia, dopóki by trumny dostatejnie nie przysposobiono i smołą nie wylano.

Przez cały ten czas, choć wrota były zamknięte i nikogo nie wpuszczano, krom znajomych i przyjaciół, ciżba oblegała kamienicę, szlachta płynęła bezustanku, a który stąd wyszedł, za kord się trzymał, jakby szukał i czekał, kogo rąbać...

Na kanclerzu pocziwej nitki nie zostało, a i królowi też nie przebaczone.

Trzeciego dnia, chociaż się to wcale nie uśmierzyło, trumnę przyniesiono, włożono w nią zwłoki i zamknięto w niej, ale że się wielu domagało go widzieć, pozostawiono szybę naprzeciw twarzy, resztę zaś zprosta, ale uczciwie czarnym gmachtem obito.

Co się działo i pierwszego, i następnych po nim dni na zamku i w mieście, ludzie długo pewnie pamiętali, bo takiego zburzenia umysłów zdawna Kraków nie widział, a było generalne, począwszy od biskupiego dworu do najbiedniejszej chaty...

Na zamku musiano gęsto obsadzić blank, bo się sedycji obawiano. Do kanclerza nikt nie jechał. Zato do zwłok, do pani krakowskiej, na Franciszkańską ulicę do marszałka cisnęli się znajomi i nieznajomi z kondolencjami, a jakie tam głosy przeciw Zamojskiemu słyszeć się dawały, powtarzać trudno.

Gdyby nieprzyjaciele króla i Zamojskiego chcieli dla swej sprawy coś uczynić, nie mogliby jej lepiej usłużyć nad to, co dla niej sam kanclerz przez śmierć Samuelową uczynił.

Owe ciągle powtarzane „piwo polskie“ Zamojskiego, które miało rychło stać za wodę, robiło tymczasem w głowach jak w kadziach... a nie czuć było, aby się rychło wyburzyć mogło.

Chociaż panowie Zborowscy, oprócz lamentów, nie czynili nic, w Krakowie powstał taki tumult, taki murmur (wedle wyrażenia ówczesnego) przeciwko kanclerzowi, iż go inaczej nie zwano, jak „gwałtownik praw, tyrán haniebny“.

Dla szlachty krakowskiej, która Zborowskich od kilku wieków przy tronie i na krzesłach senatorskich widywać była nawykła, Zamojski był *homo novus*. Wolano, że go król zaledwie *ex stercore paupertatis* wydzwignął. Nie pomogło wspomnienie owego wspianego wesela, ani pokrewieństwo z królem.

Ktokolwiek nawinął się kanclerzowi na oczy, zataić mu tego nie mógł, że *indignatio* była powszechną i gwał-

towną, jakiej nie pamiętano w Krakowie od ucieczki Henryka.

Po gospodach i browarach występowali oratorowie, cisnęła się szlachta, czytano skrypta, miotano pogrożkami.

— Czego się my mamy spodziewać, — wołano — kiedy takich rycerzy, co nas przeciwko poganom bronili, na których męstwie Rzeczpospolita stała, katowskim mieczem ze świata gładzał! Czeka nas tyraństwo domowe, albo niewola u Turka!

Gdy w Świdnickiej piwnicy ktoś się śmiał odezwać, że właśnie pan Samuel z Turkiem porozumienie miał i że pełno tego śladów zostawił w pismach i po księgach ręką własną, a podarki od tatarskich chanów odbierał... o mało go, jak kalumnjatora, nie rozsiekano, tak, że się ucieczką salwować musiał.

Nie mogło to dla Zamojskiego tajemem być, co się dokoła działo, bo patrzył, słuchał, a wzrok i słuch miał bystry, ale czynił tak, jakby o niczem nie wiedział, lub go to wcale nie obchodziło.

Więc wyprawiono natychmiast listy do króla i gońca z relacją, a sprawy powszednie szły swym porządkiem i nieprzerwanie.

Wieczorem przyszedł do kanclerza Urowiecki, który już od kłótni i łajania ledwie dyszał, z tem oznajmieniem, że nikt z ludzi się na miasto pokazywać nie mógł, bo ich ściągnano, kamieniami rzucono, plwano, a z okien kałami i oprawcami okrzykiwano.

— Tak daleko to zaszło, — rzekł Urowiecki — iż na sedycję patrzy.

Zamojski spokojny i niewzruszony wysłuchał opowieści i rzekł mu tylko:

— Znajdzie się sposób na to, a nie traćcie animuszu... i nie zważać. Niech się gawiedź wykrzyczy.

Kazał do siebie wezwać na radę Heidensteina i Becha, choć nie oni jemu, ale on im radził i wydawał rozkazy, ale to tak spokojnie i flegmatycznie, jakby mu to bynajmniej nie dolegało.

Nazajutrz Bech spróbował wyjść na miasto

i w pierwszej gromadzie, gdzie wykrzykiwać zaczęto o owej niewoli tureckiej, on się znowu wyrwał z argumentem, że Samuel z Turkami i Tatarami miał kon-szachty.

— Jeżeli tak było, — krzyknął pod nos mu szlach-cie, pięścią demonstrując — a toć to sejmowa sprawa, nie kancelerska. Czemużście go z pismami temi i księ-gami na sejm nie schowali.

Bech na to jeszcze ofuknął:

— Boże uchowaj! Dobrzeby tak było postąpić z kim innym i pewnieby się też tak uczyniło, ale nie z moż-nymi despoty, jak Zborowscy; z tymi inaczej potrzeba. Ujrzycie zresztą, że i na sejm się jeszcze dosyć zostało; mamy na nich dowodów siła, okaże się wszystko.

Wtem dokoła zaczęto wolać:

— Kancelerczuk! kancelerczuk! — i nacisnęli Becha a grozili mu i szturchali, tak że się ledwie wycofał i uciec musiał.

Tegoż dnia Serny, którego poznali ludzie Zborow-skich, że ten był, co przy nieboszezyku siadywał, i do-syć się z nim grubjańsko, po chłopsku obchodził, ści-gany i pobity ledwie do bramy zamkowej z życiem się schronił.

Spotykało to i innych. Miasto całe wrzało pomstą.

W początkach słudzy kancelersey, nie chcąc okazać, ażeby to ich alarmowało, umyślnie tem zuchwalej so-bie poczynali, straszac ludzi Zborowskich, naciskając się na domy i szablami pobrzękując, ale zawsze potem cofać się musieli, bo mieszczenie przychodzili w po-moc Samuelowym.

Na zamku Urowiecki z rozkazu snać kancelerza właśnie naprzekór kazał okazywać szczególną weso-łość i triumfy wyprawiał. Ustawicznie grano na trą-bach, w bębny bito, żołnierstwo, na blankach stojąc, pokrzykiwało i pieśni śpiewało. A tem, co mieli onie-śmielić, do ostatka zniechęcili i rozdrażnili lud.

Na ulicach wszczynaty się zwady co krok. Szła gro-mada kancelerskich ludzi, a napotkała którego ze zbo-

rowszczyków, zabiegali mu drogę urąganiem, wywoływaniem, ukazując na gardła, śmiejąc się, naciskając.

Taż samą monetą płacili potem zborowszczycy i szlachta, i mieszczenie, czeladź nawet rzemieślnicza, kanclerowskiej służbie.

W dzień Św. Trójcy kanclerz po nabożeństwie pojechał do biskupa krakowskiego. W początkach nie mówiono nic, tylko o królu i o spodziewanem jego przybyciu, a o sejmie konwokacyjnym, ale zaraz ktoś z przytomnych bryznął kanclerzowi sprawą Zborowskich w oczy, dosyć nieprzystojnie.

Zamojski ani drgnął, ani mu się twarz bynajmniej nie zmieniła, począł sprawę wywodzić tak zimno, jakby szło o beczkę soli, nie o głowę.

— Jeden już zuchwalstwo swe gardłem przyplacił, — rzekł — ale na tem nie dosyć. Krzychnika Zborowskiego, podczaszego, ja tem samem prawem zaraz stracić mogę, a że się o to wszelkiemi siłami starać będę, nie taję. Ten winien może więcej, niż Samuel, choć zawsze z za płota strzelał... Pisma jego własnoręczne są... *flagrantes*. Marszałek też, choć niewinnym się czyni, tyle wart, co i bracia, ale tego ja na sejm rezerwuję, z pocziwością i gardłem nie ujdzie mi...

Biskup się na to odezwał, do łagodności pobudzając, na co Zamojski rzekł:

— Długo pan nasz cierpiał i miłosiernym był, a no przebrała się miara, bo nam na głowach koły ciosać chcą. Nie byłoby rządu, gdyby nie było sądu, a przed tym tak dobry pan Zborowski, jak najmniejszy chudzina.

Słowa te potem rozniesiono zaraz z kamery biskupiej, każdy do nich jeszcze coś przyrzucił i rozeszły się po mieście, a co za uczucia budziły, łącznie pojąć.

Tegoż dnia Bech i inni, Serny i Urowiecki przyszli powtórnie do kanclerza do sypialni, przekładając mu, że już na miasto wyjść i ukazać się nie śmieją; Zamojski miał im odpowiedzieć (wedle ich wersji):

— Jam też słyszał, że tam waszmościów straszną po rynkach i boicie się! Cóż, moi mili słudzy i przyja-

ciele, jam wam mówił już: piwo to polskie, czekajcie mało, rychło się wyburzy. Karcie ja każdego muszę i będę, bo ja urzędowi moim, który na mnie pan włożył, zadosyć uczynić jestem obowiązany, a na fraszki takie, jak oni Zborowscy, nie zważam.

Ciągle to powtarzano o piwie i o fraszkach, że sobie ze Zborowskich nie czynił nic.

Urowiecki zaś po swojemu dodawał jeszcze, jakoby przez Zamojskiego wyrzeczone słowa:

-- Trudniej im o trzysta złotych, niż mnie o trzykroć sto tysięcy. Ja moim sługom mam co dać i mogę każdego z nich możliwym uczynić, czego żaden w Polsce i na Litwie nie potrafi. Ja was zastąpię we wszystkim, a stanie się któremu z was co do gardła i majątności, ja mścić będę. Wyście żrenicą oka mego i w tej sprawie, i w każdej innej bronić was będę. Mam wojsko, mam pieniądze, mam państwo w ręku mym.

Że podobnego coś mógł powiedzieć, możliwe, ale że to przesadzone w ustach Urowieckiego brzmiało inaczej, też pewna, jak niemniej, iż na dwór Zamojskiego padł popłoch, a siedzieli potem na zamku, ruszyć się nie śmiejąc, bo ich raz wraz despekty spotykały.

Zborowscy, czując poza sobą i szlachtę krakowską, i stolicę całą, śmielej szli. Przybył do Krakowa z pocztą pokaźnym marszałek Andrzej w wigilję Bożego Ciała i przez miasto ciągnąc w żałobie, zajechał do domu na Franciszkańskiej ulicy. Wiadomem było, że przyjechał po zwłoki brata, które stąd odprowadzić miano na zamek Spytków, do rodzinnego grobu. Do wyprowadzania tego nie powoływano i nie zapraszano, ale zawczasu zbiegła się gromadnie szlachta, przyjaciół, sług, dworu i klientów coniemiarza. Miasto się przepełniło, jak na festyn największy, na co z zamku jakim okiem patrzano, rozumie każdy, ale nikt nie przeszkadzał zmarłemu oddać ostatnią posługę, bo Zamojski mówił:

— *De mortuis nulla est cura* (o zmarłych niema się co troszczyć).

Prowadzono trumnę przez ulice z żałobą wielką

i konkursem ludu ogromnym, przyczem marszałek za bramami, gdy na wóz trumnę składać miano, powiedział mowę, którą spisana puszczoło w świat.

W mowie swej Andrzej wcale kancлера nie oszczędzał, poprostu stracenie brata zowie morderem, niezem nie usprawiedliwionym, popełnionym dla prywatnej niechęci, „jadowitemu gniewowi i waśni swej zadosyć czyniąc“.

W mowie tej Andrzej bardzo zręcznie dowodził, że baniejka ta prawie lat dziesięć starą była, a dopiero teraz ją przebutwiałą spożytkowano dla prywaty.

„Blisko lat dziesięć już Samuel w Polsce był, mówił marszałek — *et non temere*, miał pasporty króla jego-ności teraźniejszego, miał przywileje na jurgielty, miał listy przypowiednie, bywał na pokojach u króla jego-ności dzisiejszego, bywał u tegoż samego nieprzyjaciela, z marszałkami wszystkimi siadał, jadł i konwersował“.

Oczywista, że w mowie wszelkiego wspomnienia o listach pochwyconych, spiskach, knowaniach i zamachach, z Krzysztofem razem osnutych, unikał i czystym, a przemocą uciśnionym, Samuela czynił.

Kończąc tę odezwę do szlachty krakowskiej u trumny brata, która szeroko i daleko rozejść się miała, zakończył Andrzej:

„Jako się na jednej krwi nieprawnie zajuszy nie tuć stanie, bo słodka takim węzom krew ludzka. Jużci słyszę jawne mowy, że toż panu Krzysztofowi, bratu memu, uczyni, o mnie też nie wiem, co za gróźb używa, a jeśliby wygubił dom mój, wy na to przez szpary patrzyć będziecie? Rzucił je już tą kostką, stanęły mu, że na wasze szyje to uczyniono“.

Tak ta Zborowskich sprawa stawiała się wspólną całego stanu szlacheckiego, pogwałceniem praw... samowolą pojedyńczego człowieka. W istocie nie zbywało jej na stronach ciemnych, które się wyzyskać dawały w obronie Zborowskich, a raz dostawszy się w usta tłumom, rosły na poemat i legendę, przemawiały do sere tragicznością swoją.

Samuel, słynąc dotąd z zuchwalstwa i samowoli, stawał się bohaterem i męczennikiem, opromieniała go poezja, wychodził z grobu jasnym.

Obudzał litość, przebaczano mu wszystko, podnosiły się w nim rycerskie cnoty, męstwo nieustraszone, ochota do czynów, na które niktby się inny nie ważył. Opowiadano, jak na Niżu z Kozaki cudów dokazywał, odpisywano powieść o tem, tak ułożoną, iż go w najpiękniejszym świetle wystawiała. Żyli jeszcze świadkowie, byli towarzysze. Śpiewano o nim pieśni.

Nie mało się też przyczyniało i to do wzbudzenia litości w sercach, że osierocił dzieci, z których Anusia szczególnie się odznaczała żalem swym, publicznemi lamenty i niemal powoływaniem do zemsty. Szła razem z Włodkową i panią krakowską za zwłokami, palającemi oczyma jednając wszystkich sprawie ojca.

Na zamku wieczorem dnia tego odetchnęli wszyscy swobodniej, gdy rodzina, przyjaciele i cały ten tłum szlachty odplynał za trumną. Sądzone, iż się wkrótce rozdrażnienie uśmierzy, a Zamojski powtarzał swe piwo, nie rokując poruszeniu temu długiego bytu, a rachując, że przed sejmem wspomnienie się zatrze. Na ten raz jednak rachunek okazał się mylnym.

VII.

Oczekując na przybycie króla, który się z Grodna do Krakowa, albo raczej do Niepołomic obiecywał, bo tam rad przebywał, unikając królowej dla trudnego pożycia z nią, gdyż w istocie małżeństwo politycznym tylko było związkim, — Zamojski mężnie stawiał czoło całej tej wrzawie, jaką śmierć Samuela wywołała.

Przewidywał on poczęści następstwa, gdy Batorego o powolność prosił i słał listy a posły, aby go do niej nakłonić. Przygotowany się też znalazł do walki, gdy król nietyle się jej spodziewał; — rachował na trwogę, a teraz widząc, że rozdrażnienie tylko wywołał, tem moc-

niej życzył i nakazywał najsurowsze względem Zborowskich postępowanie.

Z obu stron gotowano się do tej wojny i przyjaciele Zborowskich z ręcznie umysły nastrajać się starali rozrzucaniem pismami, które z rąk do rąk przechodziły.

Kancelarz też z założonemi rękami siedzieć nie mógł, choć te szarmyśle przedsejmowe nie po myśli mu były.

W kilka dni po wyprowadzeniu zwłok do Spytków Zamojski siedział wieczorem z Heidensteinem i Bechem za stołem, na którym były rozrzucone papiery, i słuchał z zimną krwią opowiadań o pogrzebie, na który patrzeć nie mógł.

Tegoż dnia goniec przyniósł mu od króla listy pánów Zborowskich, Jana, kasztelana gnieźnieńskiego, i marszałka Andrzeja... i inne akta, sprawy tej się ty czące. W liście swym do Zamojskiego król nastawał na to, aby im rozdrażnienie w kraju większem się okaza wało, mniej mu się poddawać i folgować.

Zamojski byłby chętnie wiele oznak niechęci puścił mimo uszu, nie podnosząc ich, nie walcząc z niemi, na wiele skryptów nie odpowiadając, co było najlepszym sposobem odprawiania ich pogardą; król zaś przeciwnie nastawał, aby nie bezkarnie nie uchodziło, bo czuł się silnym.

Nie o Zborowskich mu szło, chociaż ich też nienawidził, jako osobistych wrogów, ale o całą szlachtę, której butę nieokiełznaną, swawolę i zuchwalstwo oni wcielili w siebie.

Pożyć ich było to zapowiedzieć innym, że dla wielkiego imienia, związków i znaczenia względów żadnych mieć się nie będzie.

— Prawo nie zna ludzi, — pisał król — tylko uczynki... Ja też osobiście nie widzę żadnego powodu, dla którego bym folgować miał, a tysiąc pobudek, bym nieubłaganie ścigał wykroczenia.

Listy Batorego dawał czytać kancelarz sekretarzowi, nie dodając do nich ani słowa. One tłumaczyły najlepiej jego zachowanie się.

Bech przyniósł właśnie cały zwiłek papierów, które

Zamojskiemu miał ukazać. Szło o to, czy warte były niektóre, aby przeciwko nim z kontrskryptami wystąpić. Kanclerz był nieprzyjacielem tej polemiki bezimiennej, choć obyczaj kraju czynił ją prawie nieuniknioną.

Wiedziano powszechnie, co i Zamojskiemu nie było tajemem, że nocą ostatniej Samuel, kazawszy Mroczkowi podać sobie papieru, pisał długo, dużo zostawił zapelnionych arkuszy. Co na nich stało nie wiedział nikt, oprócz Mroczka i tych, którym papiery oddał, ale *vox publica* chciała, ażeby wiersze i żale na nich zostawił, których odpisy natychmiast się ukazały.

Przyniósł tedy Bech ów wiersz i podał go Zamojskiemu, uśmiechając się. Kanclerz w milczeniu czytać począł, ruszył ramionami i odsuwając papier, rzekł:

— Nie Samuelem to pachnie, i nie wiem, ktoby się na to dał wziąć, ale ludzie łatwowierni są, gdy im tego potrzeba.

— Czytajże wasza mość! — zwrócił się do Heidensteina — pedagog to jakiś i *poeta bullatus* na rachunek Samuela, za pieniądze marszałka tak pięknie wystylizował. Boleść w przededniu śmierci inaczeyby wołać musiała, gdyby do skandowania była zdolną. Nigdy też nie słyszał, aby hetman Niżowców muzom dworował...

— Toć pewna, że elegję tę nie on pisał, — odparł Heidenstein — ale ona chodzi po świecie i serca porusza.

— Czytaj, wasza mość — rzekł kanclerz do Becha, który rozpoczął:

Sluchajcie, nocne cienie, bądźcie mi świadkami,
I wy, nieszczęsne ściany, skarżę się przed wami,
Jak świat stanął i póki bieżą lata jego,
Żaden nad mnie żałośniej nigdy nie zszedł z nlego...

Za tem szło dalej, przyczem Zamojski często ramionami zrywał.

— Zdradził się pedagog — rzekł — mitologją

i erudycją, której bodaj Samuś nigdy nie miał. Ów Jowisz Fata, Tytan, Sysyfus, Cyntia...

— Na toby jednak komentarz się zdał, — odparł Heidenstein — bo tu wiele rzeczy dotknięto, które inaczej brzmią rzeczywiście, niż je poeta urobił.

Kanclerz wziął do ręki, odczytał go raz jeszcze i począł dyktować Bechowi, który notował słowa jego.

— O ojczystej swobodzie mówi, — odezwał się kanclerz — a tej nie kosztował, bo był banitą; zowie się synem koronnym, a nazwiska tego godnym się nie okazał. Powiada, „że zdradną przygodą“ ujęty został, co fałszem jest, bo go umyślnie w imię prawa wzięto.

Zkolei tak Zamojski przebiegł cały ów wiersz, rzucając uwagi, i dodając wkońcu:

— Śmierć swą nazywa „niepożyteczną“; bardziej żywot był niepożytecznym, bo więcej szkodził ludziom, zdrowia ich pozbawiając, przykrości im czyniąc, Rzeczpospolitą sobie nie ważąc, o królu mówiąc, że go za nic ma. Teraz jest śmierć pożyteczna, bo będzie drugim *in exemplum*, że zuchwałego zawsze karzą.

Heidenstein więc postanowił, czemu się Zamojski nie sprzeciwiał, aby przeciw wierszowi notę na świat puścić. Wtem Bech i drugi wiersz łaciński średnio-wieczną formą niekształtną podsunął, którego pierwsze rymy przeczytawszy, kanclerz śmiechem parsknął i precz go odrzucił.

— Nie wiem, jaki mnich się na to zdobył — zawołał — a no szkoda, że o jakie lat trzysta się opóźnił.

Wiersz ten w istocie jakby przed wieki zlepiony, kończył się groźbami w przyszłości dla Polski.

Cernite Poloni!

Erit hoc non uni!

Post hoc vos flebitis!

Łacińskiej tej elukubracji dano pokój, śmiechem ją zbywając.

— Toć — rzekł Zamojski — panowie Zborowscy i tem się chwala, że na Niżu o nim ruskie pieśni Koza-

cy śpiewają; a no chyba na nie odśpiewywać nie warto, boby temu końca nie było...

Przyszły potem na stół listy obu ichmościów Zborowskich do króla, w których nietylko Andrzej, ale i Jan na kanclerza nastawał i z tych się król mógł przekonać, że surowość jego do coraz nowych prowadzić będzie zatargów i zmusi do coraz większych ucisków, a ścigania niemal całej rodziny.

Miał przed sobą listy te kanclerz i wiele innych, równie niepokojących dokumentów.

Za Samuela o pomstę do Boga wolano.

List kasztelana gnieźnieńskiego mógł najboleśniej dotknąć Zamojskiego. Stał on dotąd zdala, nie mieszając się do spraw braci, którym był obcy; jak piorunem razila go wiadomość o śmierci Samuela. W spiski, w winy braci, w zamachy na króla kasztelan nie wierzył, nie znał ich... miał je za potwarze; gwałt, czyniący zakaleć rodzinie, dotknął go okrutnie.

List do króla skończył się okrzykiem boleści.

„Nie przyszło to uczynić Zamojskiemu dla dobra Rzeczypospolitej, — pisał kasztelan — bo ta nigdy nie była w niczem od niego obrażona, jeno z waśni a uporu swego przeciwko domowi naszemu, jako temu, który się zawsze o to stara i starać chce, jakby wszystkie domy co najcelniejsze w Polsce naprzód do nielaski waszej królewskiej mości przywiódłszy, wyniszczył do gruntu, czego już dosyć widzimy na oko, a sam siebie tylko i powinne swoje wynosi, aż pod obłoki, a nigdy w niczem Rzeczypospolitej i waszej królewskiej mości zasłużone, którego nie tak jego godność, jako wielka łaska waszej królewskiej mości *ex stercore erexit pauperem* (ze znoju ubogiego wyniosła).

„Żal takowy w nas wiecznemi czasy uśmierzony być nie może, a życzyłbym sobie, niż do tego przyszło, aby była ziemia nas pierwaj pożarła i potomstwa nasze, bo nie jedno my, którzyśmy zostali na świecie, ale i ci, którzy już są na łasce Bożej, by jaką wiadomość o tem mieli — i ci by równą żalność z nami mieli, do jakichś dyscensyj i trudności waszą królewską mość i wszystką

Rzeczpospolitą wiedzie; daj Boże, aby to wasza królewska mość, jako we zwierciadle, obaczyć raczył. Dalej i więcej żal, który się prawie z duszą łączy, nie dopuści mi pisać. Wszystko na łaskę waszej królewskiej mości i rozsądek przypuszczając, ostatek się do sejmu odkłada“.

Przy czytaniu listu tego kanclerzowi, gdy Bech przyszedł do miejsca, gdzie zelżywie się wyrażał kasztelan, *ex stercore...* utknął. Spojrzał nań Zamojski i rzekł chłodno:

— Czytaj, wasza mość.

Wahał się jeszcze amanuensis, gdy Zamojski zwołał mu papier wyjął z rąk, półgłosem przeczytał.

— *Ex stercore!* — pokręcił głową i oddał mu list, aby kontynuował.

Nie sobie niby nie czynił z tego wyrażenia, przecież go to zabolalo i kilka razy w duchu powtórzył sobie: *Ex stercore!*

Na królu, który sam sprawcą wszystkiego był, listy te nie czyniły wrażenia; kanclerz cały ciężar odpowiedzialności dźwigał, jego tylko obwiniano.

Zborowscy czynili teraz nadzwyczaj dużo, bo im o przygotowanie umysłów do sejmu chodziło; nie tylko do króla ze skargą wystąpili, zaskarżyli kanclerza do trybunału w Lublinie, a przedstawili rzecz w ten sposób, że trybunał, acz z oględnością, postępowanie Zamojskiego naganiał.

Pismo to obeszło go najwięcej.

Powaga trybunału była wielka, mogli się nią zastąpić Zborowscy. Zmilczeć też nie mógł kanclerz i odpowiedzieć musiał.

Tak mimowoli prawie wszędzie był wciągnięty, iż się tłumaczyć i odzywać został obowiązany. Milczeć był wolał, lecz nie godziło się. Gdy w odpisach poszła mowa pana Andrzeja, miana przy wyprowadzeniu zwłok — i przeciwko tej protest zaniósł; do Lublina odpisywał, na wiersze odpowiadał, bo raz wszedłszy na tę drogę utrapioną, nie można było zawrócić.

Tak nie jeden ten wieczór, ale i dnie całe i noce cza-

sem schodziły na sprawie Zborowskich, która miasto się przez to przygajać, coraz większą jątrzyła raną. Wszystkie żywioły nieprzyjazne przychodziły jej w pomoc, a szczególnie potajemne stronnictwo cesarskie, które się wielce radowało zawikłaniu.

Król z obojętnością pozorną, a w istocie z zaciętością nieublaganą przeciwko Zborowskim działać polecał. Listy ich trzymał, czytał i sam dawno sprawę osądził, a to, co o niej mówił Zamojski, było tylko powtórzeniem myśli królewskiej.

Gdy się to działo w Krakowie, marszałek tymczasem jeździł, zjazdy i sejmiki nawiedzał, do szlachty przemawiał, mów swoich kopje rozpuszczał w świat, listy rozpisywał, rodzinę najdalszą skupiał do wspólnego wystąpienia na sejmik w Opatowie; prośbę w Zborowie podpisali nie tylko Jan, Andrzej, Krzysztof, ale Piotr, Krzysztof drugi młodszy i Jan Stobnicki, tłumacki, kamionacki starosta... wszędzie jedna powtarzała się groźba: *Hodie mihi, cras tibi*. Dziś nas to spotkało jutro całą szlachtę toż samo czeka!

Szlachta do tego stopnia już się poruszyła, że na sejm chciała nie przez posłów się stawić, ale gromadnie, tak, jak na elekcję, kto żyw... Odradzili to wszakże Zborowscy, aby o rebelję i najście gwałtowne ich nie oskarżono, i sejmku nie odwołano, a zatem i sprawaby odroczonej została.

W pierwszej chwili po ścięciu Samuela, gdy Zamojski nieraz, ale wielokroć z tem dał się słyszeć, że ten sam los zgotował dla Krzychnika i że tem samem prawem jego bez sądu i sejmku może karać na gardle, troskliwy o siebie Krzysztof, nie czując się czystym, natychmiast pierzchnął i na ziemi cesarskiej schronienia bezpiecznego szukał.

Czynnym był za niego Andrzej, którego on radami wspierał, listów się już wystrzegając teraz, a ustne mu śląc informacje.

Postrzegli się jednak wkrótce wszyscy, że ta ucieczka podczaszego na niekorzyść jemu i sprawie wycho-

dziła. Mimowoli mówiono sobie: gdyby się w sumieniu wolnym czuł, nie obawiałby się niczego.

Raz i drugi zagadnięto o to marszałka, który powrót brata obiecywał. Ale gdy Krzyehnika namawiać przyszło, aby przyjechał, rozbily się prośby i wymagania o najdziwaczniejsze a najrozmaitsze z jego strony wymówki. Życia dać Krzysztof wcale nie myślał, przyszłość mu się jeszcze uśmiechała.

Z panem Czarnkowskim, mówiąc w te czasy, ciągle powtarzał mu.

— Długo on panować nie może... nie my, to inny mu pigułkę przyprawi. Nieprzyjaciół ma dosyć, a jednego Zamojskiego za sobą. Ten, by Salomonem był, nie starczy.

Oskarżony o intencję otrucia króla, Krzysztof, zbiegłszy za granicę, o tem tylko myślał, jakby się wypłacił kanclerzowi, jego obwiniając o zamach jakiś podobny, choćby na samego siebie.

W listopadzie 1584 zrodziła się z tego historja, na proszowiecki sejmik wyciągnięta, ale później pokryta milczeniem. Ciemno w niej... a rzecz się tak miała:

Krzyehnik, za granicą przebywający, w oczekiwaniu chwili, gdy mu brat marszałek znać da, iż choć na krótko bezpiecznie przybiec może na zjazd jaki, aby się szlachcie okazać i obmyć z tchórzostwa, nagle przysłał do Andrzeja z językiem, iż pojmął szlacheica, który miał od kanclerza Zamojskiego zlecenie, aby jego, Krzysztofa, ze świata zgładził, na co nawet była mu dana trucizna.

Panu Andrzejowi, gdy wiadomość tę odebrał, tak się ona zdała nieprawdopodobną, iż wierzyć jej nie chciał. Pocóż się miał uciekać do tego środka Zamojski, gdy w rękę miał inne, dostateczne, aby się zbyć Krzyehnika.

Tymczasem wiadomość tę z ust do ust podawano, wiążąc do niej i nazwisko szlacheica, który się zwać miał Pruski.

Upłynęło czasu trochę, pchnął marszałek od siebie zaufanego czleka, aby Krzysztofa nawiedził i sprawę

tej trucizny bliżej rozpoznawszy, wyjaśnił. Na lekko z takim oskarżeniem wystąpić nie było można.

Gdy dworzanin marszałka powrócił, tyle tylko przywiózł, iż istotnie Krzysztof trzymał uwięzionego niejakiego Pruskiego, a ten głośno, nie brany na męki i nie zmuszany, wyznawał, iż naprzód tentowany był o zadanie trucizny podczaszem, a gdy się temu nie opierał, przyrzeczono mu od kanclerza nagrodę znaczną i sprowadziwszy go do Krakowa, Jan Dzierżek w gospodzie u Toltynowej przygotowany jad ów oddał Pruskiemu, przy czem znajdować się miał chłopiec węgrzynek pana kanclerza. Listy też jakieś Zamojskiego w tej sprawie u Pruskiego znajdować się miały.

Jak się to wydało i w jaki sposób Krzysztof pochwycił Pruskiego, który dawniej u niego służywał, to się niby później okazać miało. Tymczasem zaś Pruski znajdował się pod dozorem na dworze podczaszego i powtarzał codziennie swoją historję, a za nim opowiadał ją pan Krzysztof każdemu, do niego przyjeżdżającemu.

Kto zaś był ów Pruski, nikt dobrze nie wiedział. Niegdyś wisiał przy dworze Krzychnika i gdy ten Wołoszyna był ułapił, co mu się potem okupować musiał za to, że siostry za niego dać nie chciał — Pruski był dozorcą przy więźniu. Zniknął potem z oczów wszystkim, jakoby na Wołoszczynę się z hospodarem udawszy, aż zjawił się znowu z tą trucizną, ale bardzo biedny, odarty, z nosem krwawo zaczerwienionym od pijaństwa, złamany, przygarbiony, ochrypli i na włóczęgę wyglądający. Opowiadał, iż dla wielkiej nędzy podjął się trucizny, ale go później sumienie ruszyło...

Krzysztof przez posła dawał znać bratu, że będzie li bezpiecznem na sejmik do Proszowic dnia 1 listopada 1584 przybyć, gotów z sobą przywieźć Pruskiego, aby ten publicznie uczynił zeznanie.

Charaktery dwóch braci, a licząc z Janem trzech wszystkich pozostałych, acz miały rysy wspólne, bardzo się jednak od siebie różniły. Jan był tak szlachet-

nym, iż złego nie widział i nie przypuszczał, a bracia też przed nim nie wszystko, co czynili, odkrywać mogli.

Andrzej i Krzysztof, podobniejsi do siebie, stali też w pewnej od siebie odległości. Oględniejszym daleko był marszałek, strzegąc się, aby na siebie nawet podejrzenia nie ściągnąć, nie oburzał się na to, co Krzysztof czynił, lecz obawiał się nieostrożności i fałszywego kroku. Pchnąłby on podczaszego, gdyby w tem niebezpieczeństwa nie widział dla siebie tak samo, jak niegdyś Krzychnik popychał Samuela, nim się posługując. Przebieglejszym był podczaszy, ale dla niego wszelkie środki bez wyboru dobre były, a awanturnicze usposobienie, pokrewne Samuelowemu, często go za daleko prowadziło.

Nie bez przyczyny więc, znając go, krzywił się marszałek, słuchając opowiadania o Pruskim i o truciźnie. Wydała mu się ona niezgrabnie zmyślona na odwet za tę truciznę, o której wzmianka była w listach Krzychnika.

Dlatego posłał na miejsce badać, co zaczął był ten Pruski i jakim sposobem mógł podczaszy do niego przyjść. Z relacji zaś przywiezionej tyle tylko wyrozumiał, że Pruski dużo piwa pił, a napiwszy się — od rzeczy prawił.

Ułakł się, aby z takim świadkiem i gadką podczaszy nie przyjechał na sejmik do Proszowic i list napisał odradzający, w którym mu to czuć dawał, że się rzecz bardzo podejrzaną wydaje...

Rozgniewało to do najwyższego stopnia Krzysztofa. Odpisywać nie śmiał, bo się już na listach i na cyfrach sparzył, ale powiedzieć kazał bratu, że on też głowę ma na karku nie dla proporcji, a na rzeczy się zna i plewy od ziarna rozróżnić umie.

Nadchodził sejmik w Proszowicach, na który miał przybyć podczaszy, aby okazać, że się kanclerza i jego pogroźek o gardło nie lęka.

Wszystko niemal, co się tu przygotowywało, nie było Zamojskiemu tajnem. Tak, jak wprzód Urowiecki krok w krok niemal za Samuelem jeździł, a Boksic-

ki, domownikiem będąc, zdradzał go, teraz też na dworze pana Andrzeja były służki kanclerza, a dojeżdżali jego ludzie do Krzysztofa.

Co się tu radziło, mówiło, gotowało, wiedział o tem Zamojski. Z sejmiku proszowickiego wielkich się rzeczy nie obawiał, ani spodziewał, ale go wiadomość o Pruskim, o Dzierżku do żywego poruszyła. Nie zwykł był gniewać się nigdy, ani unosić, tym razem jednak, znak krzyża świętego uczyniwszy, skoczył jak młodziak, gdy posłyszał, że on miał truć Krzysztofa.

Było to wprost śmiesznem, ale razem oburzającym. Wiadomo, jak szlachta drobna łatwowierna jest i chwila plotek, zwłaszcza, gdy one możnych się tyczą i mogą ich obryzgać... Nic to nie pomagało, że baśń była niedorzeczną, tłumy w nią chętnie wierzyć mogły, a ubrano ją tak w pewne szczegóły, w nazwiska, iż miała jakąś barwę rzeczywistości.

Dzierżek, jako żywo, nigdy w oczy Pruskiego nie widział, ledwie go znał, a co gorzej, właśnie o tym czasie, gdy miał u Toltynowej oddawać truciznę, z polecenia hetmana w Knyszynie się znajdował. Węgrzynka żadnego dopytać nie było można.

Spytany o Pruskiego Dzierżek powiadał, iż go nigdzie indziej nie widywał, krom za stołem w browarze, albo przy kieliszku u Toltynowej, pijanego, pieśni wyśpiewującego, a gdy grosza nie miał, w najpodlejszy sposób żebrzącego w imię podupadłego szlachectwa swego.

Co się tyczy przyprawiania trucizny w aptecę na rogu Grodzkiej ulicy, Dzierżek się odwoływał do Mroczyka, z jakiego powodu tam śledzili i badali, czy jej dostać można.

Jakim sposobem Pruski mógł wiedzieć, że Dzierżek u Fontanusa bywał, — w tem był sęk!

Wszystko to razem funta klaków nie było warte, lecz duma Zamojskiego obrażoną była srodze i gniew przeciwko Krzychnikowi wzmógł się jeszcze. Poniżającym dla kanclerza było, że go śmiano w ten sposób nikezemny spotwarzyć.

— Mam-ci poddostatkim na podczaszego sposobów i nie potrzebuję się do takich, jakich on używa, uciekać!

To, co kanclerza chwilowo oburzało tylko, króla jątrzyło do najwyższego stopnia. Dowiedziawszy się o potwarzy tej, krzyknął, węgierskiem przekleństwem popierając swe słowa, iż mu podczaszy nie ujdzie, że go infamem i banitą uczyni, a waży się z głową ukazać, to mu ją natychmiast ściąć każe.

Przed 1 listopada posłał raz jeszcze marszałek do brata, aby przybywał, ale z Pruskiego sprawą się nie popisywał, bo ona więcej złego, niż korzyści przyniesie.

Podczaszy stawiał się na sejmik... Na pierwszym kroku spytał go brat:

— A Pruski?

— Mam go z sobą — odparł podczaszy.

— Aleć go produkować nie myślisz?

— Czemu nie? Na sejmik go nie poprowadzę, ale kto widzieć i posłuchać zechce, owszem, proszę, aby dał mu ucha... Mnie przecie o truciznę dla króla obwiniono, a jabym miał nieprzyjaciela oszczędzać.

— Któż da wiarę lada opojowi?

— Trzeźwym jest i będzie, zobaczycie... a przysięgą gotów stwierdzić, co mówi. Pan Bóg mi życie ratował, iż na niego, nie na innego popadł Dzierżek.

Zjechało wiele szlachty do Proszowic, aby Krzysztofa słuchać, bo już o nim wiedziano, że się ukaże i mówić będzie.

Wystąpił przeciw Zamojskiemu z mową gwałtowniejszą, niż wszystkie. Marszałek strzegł pilnie, aby słuchacze byli przysposobieni do przyjęcia, jak należy... Usposobienie też dla Zborowskich, którzy karmili, poili i wszystko na szlachtę a moc jej zdawali, było jak najprzyjaźniejsze.

Czego w tej mowie nie było! Wyrzucał Zamojskiemu, że był szwagrem królewskim (sic) „niesłychana to rzecz w Polsce“, że zarazem koronę nosił, hetmanem był, żołnierzem rządził, władzę sprawował i posłuch nakazywał, a płacić mu za to musiano!

Dalej mówił, że Samuela zabił niewinnie, że jeszcze ich, Zborowskich, oskarżał o zamachy na zdrowie królewskie.

Gdy to mówił, szlachta wzdychała. Pan Krzysztof wtrącił, że wzdychać i niewiasty umieją, a trzeba było działać. Potem, gdy się zaczęło z tem wrywać, aby na sejm jechać gromadnie, oparł się. Prosił tylko, aby wybrano posły takowe, żeby się na żadną prywatę nie oglądali.

Naostatek z wielką ostentacją podczaszy kląkł, palce złożył i głośno, wobec całej szlachty poprzysiął.

— Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i temu jego obrazowi świętemu, że się mścić będę krwi brata mego niewinnej do śmierci, nad nim i nad повинnymi jego... Wiem ci, że ten pan, jako szwagier królewski, pociągnie wiele ludzi za sobą, ale już „*pereat anima mea cum inimicis meis*“ (niech przepada dusza moja wraz z nieprzyjaciółmi moimi)...

Nie dosyć na tem — przysięgę tę powtórzył trzeciego dnia znowu i dodał: „aż krew krwią zapłaconą będzie“.

Co to znaczyło, łatwo było zgadnąć... Z Zamojskim bój o życie!

Z drugiej też strony wiedział to dobrze Krzychnik, że król zapowiadał, iż nie ustąpi, dopóki infamisem i banitą nie uczyni podczaszego...

Z Proszowie miało to groźne wypowiedzenie wojny ząb za ząb rozejść się na wszystkie strony po kraju.

Dotąd wszystko za zgodą marszałka i za wiadomością jego się działo, ale z Pruskim wcale się nie powiodło. Szlachcic, przybywszy tu dla dania świadectwa, jak pierwszego dnia z wieczora upił się, więcej już nie wytrzeźwiał. Sił mu to dodawało do ciągłego powtarzania, jak u Toltynowej truciznę mu wręczono, której on pełną krobkę podczaszemu ze skruczą wręczył, jak Dzierżek mu złote góry obiecywał... Ale za każdym prawie razem inaczej tę swą powieść układał, a gdy go kto przyparł pytaniami i zmusił do oznaczenia czasu, do

tłumaczenia ściślejszego, plątał się, belkotał, a w ostatku niewiadomo, co prawił.

Najłatwowiejszym to nie starczyło. Szlachta odchodziła, głowami potrząsając. Z ciekawością skupiano się koło niego, odchodzono z zawodem.

Sam Krzychnik, który rachował wiele na ten swój wymysł, spostrzegł, iż z niego żadnej korzyści mieć nie będzie. Zaniedbano więc Pruskiego, który przy piwie potem drzemał i nikt na niego nie zwracał uwagi.

Pozbyłby się go chętnie podczaszy, ale puścić łotra nie było bezpiecznie, bo mógł schwycony, na mękach, albo i bez nich przyznać się do kłamstwa i wskazać, kto go do tego nakłonił.

Nie obawiał się o siebie podczaszy, bo sam tego nie czynił, ale po nici do kłębka dojść było łatwo. Musiał więc stawić straż przy Pruskim, pilnować go i nazad z sobą za granicę uprowadzić.

Wielka wrzawa około trucizny skończyła się na niczem, nastąpiło milczenie, a marszałek, który przewodził niepowodzenie, gniewał się na brata.

Zagadnięty o to podczaszy stał chwilę zadumany.

— Słuchajno — rzekł do Andrzeja — to prawda, że z tego nic wielkiego nie wyrosło... ale ty myślisz, że małe gadanie i takie szkalowanie nic nie znaczy?... Pluń ty na wroga... nic mu się nie stanie, a no plwociny do sukni przywrzeją i plama zostanie! Jakoż, choć mało kto w truciznę Pruskiego wierzył, zdala ludzie mówili.

— Ba! jużci by tego z palca nie wyssali, coś tam być musiało... Jeśli nie kanclerz sam, ktoś z jego dworu coś zamierzał... Coś było!

I plwociny te w istocie nawet do kart historii przywrzały.

Przez dni kilka z mowami się popisywali, kto żyw chciał w Proszowicach, wszyscy przeciwko gwałtownikowi, tyranji, uciskowi, na kanclerza pioruny ciskając, a na sejm takich posłów wybierając, którzy ani panu samemu, ani Zamojskiemu folgować nie mieli.

Burzą ta przedsejmowa nietylko tu, gdzie ją sami Zborowscy podniecali, ale po wszystkich ziemiach Rze-

czypospolitej grzmiała i huczała. Na chwilę upokorzona energją króla i Zamojskiego, szlachta chwytala pierwszą nadającą się zrzeczność, aby do dawnego powrócić zuchwalstwa i samowoli.

Zarówno Batory, jak Zamojski wiedzieli o tem i przygotowywali się do walki. Miał król za sobą zastęp ludzi znaczny, któremu nie na dobrej woli, ale na energii równej jego i Zamojskiego zbywało. Ustąpić nie myślano, owszem, walka miała ułatwić złamanie oporu i utrzymanie na przyszłość porządku.

Jak widomy znak zwycięstwa, służyć miała sprawa Krzysztofa. Podstawą do niej były listy Wojtaszka, aż nadto dostateczne do wykazania winy podczaszego.

Król stał przy tem niewzruszenie, aby z całą surowością sądzono. Zamojski nie śmiał już nawet nakłaniać do powolności.

VIII.

Pod koniec stycznia 1585 roku, choćby może nie-jeden wolał owo ciepłe piwko z grzankami pod piecem w domu smoktać, niż tłuc się drogami zimowemi do Warszawy, jechała szlachta dla sprawy Zborowskich, ciągnęli panowie dla niej, bo wszystkim ona stała na myśli, jako rozpoczęta wojna, w której niewiadomo było, kto zwycięży: król ze swoją prawą ręką, owym szakiem „*ex stercore*“ wyniesionym przez niego, czy możnowładztwo starego obyczaju.

Niepokój był w umysłach wielki, bo poza Zborowskimi stała cała przeszłość, dopominająca się praw swoich, a za królem o wilezych zębach niejasna przyszłość, cała w jedną garść ściśnięta.

Tymczasem może nie wszyscy to widzieli tak dobitnie, ale wszyscy czuli, że nie o jednych panów Zborowskich chodzi. Oni sami pierwsi rzekli złowrogie: *hodie mihi, cras tibi*, godło niegdyś pod trupią głową kładzione, a dziś rzucone, jako groźba, całemu stanowi szlacheckiemu.

Drobna szlachta, chociażby była mogła i powinna stać przy Zamojskim, jako przy reprezentancie swoim, przeciw staremu możnowładztwu, nie pojmowała jasno zadania i tradycje popychały ją za Zborowskimi. Ponad wszystko razila i oburzała królewska samowola i energja, z jaką on do panowania powołany, chciał panować w całym tego wyrazu znaczeniu.

Z niepokojem i ciekawością, kto mógł, zdążał do Warszawy, gdzie już król i Zamojski czekali na senatorów i posłów. Wszystko inne bladło i nikło przy sprawie Zborowskich, którą król z senatem miał sądzić.

Już zawczasu chodziło z ust do ust to pytanie:

— Jakto! król więc sam w tej sprawie zarazem ma być aktorem i sędzią?...

Na zamku wkoło kanclerza i króla ponuro było i cicho. Żadnego przepychu i okazałości... dwór skromny i niezbyt liczny, myślistwo tylko, węgrzyny ulubione, służba pańska, wozów trochę i koni, a do rozrywki i pociągania ludzi tak, jak nie. Nigdzie uśmiechającej się twarzy i wesołego głosu, ludzie surowego oblicza, chmurni, kancelarje pełne ksiąg i papierów, czeladzie sformne; — jak klasztor jakiś rycerski wyglądał ten dwór królewski.

A spojrzawszy na twarze, wyczytać było można w nich dumę, energję zbrojną, niemal wyzywającą i przygotowanie się do rozpaczliwej walki.

Nie starano się nikogo pozyskać, nikomu uśmiechać. Król mało mówił, Zamojski gdy się odzywał, zapowiadał, że żadnych ustępstw po nim się spodziewać nie należało. Pytano o Zborowskich, którym pozwy wydać miano, a szczególnie o podczaszego, obwinionego głównie; czy przybędzie, nie wiedział nikt.

Niemojewski, co go miał bronić, ruszał ramionami i milczał. Mruczano, azali glejt dostanie.

Marszałka i podczaszego widać nie było... Chodziły wieści jednego dnia, że przyjeżdżają, że już są na Woli, że ich widziano w okolicy, że gospodę mają zamówioną, ale nie przybywali dotąd.

Przyjechał tylko kasztelan, który dotąd wiernie

stał przy królu, a z hetmanem razem wojował i dobrze się zasłużył, ale nie był to już ów dawny sługa powolny króla i hetmana sojusznik. Cios, zadany rodzinie, odepchnął go od Batorego, a daleko więcej od Zamojskiego, któremu wszystko przypisywał. Obowiązek krwi kazał mu stawać za braćmi, uniewinniać Samuela, bronić Krzysztofa, oczyszczać familję.

Wpół zabity kasztelan, pogrążony w sobie, zdał się ciągle powtarzać to, co w liście do króla napisał: „bogdajby nas była ziemia pożarła wprzód, nim się nam stała ta zniewaga“!

Na sąd straszny wyglądał ten sejm, gotujący się za-
siadać w sklepionej sali zamkowej. Posłowie niespo-
kojni pytali już zawczasu, czy oni też, choć jako słu-
chacze, przypuszczeni zostaną, a Zamojskiego urzędni-
cy odpowiadali zimno:

— Jeżeli jego królewska mość z łaski swej przy-
puścić ich raczy!

Jechali posłowie z tem, aby głos ich zaważył w są-
dzie, choć w nim żadnego, prawnego udziału nie mieli;
na miejscu znajdowali żelazny mur woli Batorego...

Senat z królem sam miał sądzić, a arbitrów nie po-
trzebowano.

Król nie starał się sobie ujmować, ani się zbliżał do
nikogo; ku niemu patrzyli wszyscy. Błady był, żółty,
a czarne oczy rzucały groźne wejrzenia i coraz to pod-
nosił głowę dumnie, jakby gotując się do walki... Kto
się spotkał z jego oczyma, wzroku tego nie wytrzymał.

O sprawę nie zagadywał nikogo, krom Zamojskie-
go — jasną była.

Pierwszego dnia tłum się nacisnął do sali, niebar-
dzo pytając dozwolenia; napłynęli posłowie, wtar-
gnąwszy niemal siłą, zajęli ławy... dla panów senator-
ów dosyć miejsca zostało.

Wszedł Batory z ręką na szablę, bo mu ona, zawsze,
jakby przyrosła, spadała na tę rękojęść żelazną;
wszedł za nim kanclerz, któremu krzesło za tronem
zgotowano — dwaj zapaśnicy przeciwko całemu tłu-
mowi.

Obu twarze surowe, ale na kanclerza obliczu spokój, wypracowany wolą potężną, u króla drganie namiętne nieopanowanego gniewu, który falami powracał.

Posłowie zdala wskazywali go sobie palcami, wydawał się im katem ich swobód... był wcieloną groźbą. Dotąd nie mieli i nie znosili pana, ten się nim czuł i stawiał...

Na licach panów senatorów nic wyczytać nie było można; pogodnie patrzali arcybiskup i ks. biskup krakowski, świeccy panowie zdradzali niepokój.

Wśród nich wyróżniali się tylko postawą dumną i zasepioną wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wojewodowie smoleński i połocki, w których rysach grała niecierpliwość i rozdrażnienie. Reszta ciągnęła oczyma ku królowi, szukała Zamojskiego, który w papierach przebierał, a siedział tak napozór obojętny, jakby go sprawa wcale nie obchodziła. Miał on przy Batorym, choć go wzrostem i pięknnością męskich rysów przechodził; dawny wojewoda siedmiogrodzki, Turka hołdownik, rósł tu na straszego zapaśnika, który ponad sobą tylko Boga uznawał.

Pomimo tej groźnej króla postawy, która wrażała pewną trwogę, arbitrowie, co się nacisnęli gwałtem, a których już wyprzeć było niełatwo, szmerem i gwarem napełniali salę. Ile razy się one głośniej rozległy, widać było brew czarną Batorego zmarszczoną i z wymówką rzucane na kanclerza wejrzenie. Pytać się zdawał:

— POCO ich tu wpuszczono?

Blady promyk zimowego słońca przedarł się pasem od okna na salę przyciemnioną i położył na chwilę u nóg tronu, ale wnet, jak mgłą jakąś przysłonięty, zniknął.

Marszałek Opaliński miał wystąpić z urzędu, jako instygator, ale cichym głosem wypraszał się od tego, składając nieumiejętnością i niewprawą. Potrzeba było jurysty na to, on nim nie był, żądał więc, aby go Rzeczycki zastąpił. Rzecz była umówiona; król, bo on tu

o wszystkim sam wyrokował ostatecznie, krótkiem słowem przyzwolił.

Pozwani Zborowscy nie stawili się. Wystąpił w ich imieniu Niemojewski, mężczyzna dorodny, pierś szeroka, czoło podniosłe, postawa trybuna, oblicze nieustraszone a groźne.

Samo wejrzenie, jakim mierzył króla i Zamojskiego, dawało w nim poznać człowieka, który ani się ułęknie, ani da słowem pożyć, ani prawem złamać...

Obok rycerskiego charakteru, czuć było w tym rzeczniku Zborowskich prawnika, nawykłego ze statutami obcować i znajdować w nich to zawsze, co mu było potrzebnem.

Śmiałe wejrzenie nacechowane było przenikliwością, zgadywał myśli, gdy kto mówić zaczynał i odpowiedź dawał przed pytaniem.

Król go zmierzył niespokojnem okiem. Niemojewski buty nie okazywał, ale już był tak pewien siebie, jakby już wygrał sprawę.

Spierać się poczęto o glejt dla Zborowskich; inaczej stanąć nie mogli, nie byli pewni życia. Potrzeba im było tej poręki, iż w razie nawet, gdyby ich winnymi uznano, a dekretu nie przyjęli, cali się usunąć będą mogli.

Przywodzono argumenty za i przeciw; król od początku wszystko, co na korzyść Zborowskich wypaść mogło, odtrącał. Z usposobieniem tem się nie tail, po-błażania nie obiecywał.

Wśród zabieranych głosów tłum arbitrów, zalegający głąb sali, zachował się, jak na sejmiku.

Obecność króla wprędce przestała zamykać usta i budzić poszanowanie, odzywały się głosy i śmiechy. Batory marszczył się, Zamojski zżywał. Zwrócił się ku niemu król jegomość i półgłosem rzekł po łacinie:

— Jutro precz ich wymieść, bo mi tu niepokój wnoszą z sobą.

Ale groźby tej nikt nie słyszał, a szlachta po swojemu dokazywała.

Wystąpił kasztelan gnieźnieński w obronie i po stronie braci.

Postawa starego wojaka zbolełego, przygnębionego, zadumanego, który mówił naprzemiennie to płaczliwie, to namiętnie, na wszystkich czyniła wrażenie. Słuchano go z poszanowaniem, ale cóż ważył głos miłości braterskiej, który musiał go czynić głuchym i ślepym?

Wśród wrzawy nieustającej upłynęło pierwsze posiedzenie; król wkońcu nie taił, że mu się ono naprzykrzyło. Wyszedł, okazując zniecierpliwienie i gniew. Zamojski tak zimny i poważny jak przybył, wysunął się za nim.

Po wyjściu króla wrzawa jeszcze urosła; arbitrowie pobierali się w gromadki, wyciągali jedni, stawali drudzy, rozprawiali wszyscy. Król im się wydał groźnym.

Oglądano się, mówiąc mimowoli.

— Nie przebaczy Zborowski! — szeptali jedni do drugich.

Kasztelan gnieźnieński wyszedł; został się tylko Niemojewski, posel Kazimierski i kilka nieznanomych szlacheckich chudych postaci. Senatorowie znikli niepostrzeżenie.

Z wróżb dnia tego, dwudziestego ósmego stycznia, przyszłość już było można odgadywać. Walka na-próżna...

Nim się z zamku rozeszli posłowie, już im w sieniach i podwórzu zapowiedziano:

— Jutro dla was król drzwi kazał zamknąć. Sprawa do was nie należy, a gwar dziś przynieśliście z sobą, który króla jegomością rozgniewał i zniechęcił.

Jak strzała, poraziła ta groźba posłów, którym Zborowscy wmawiali, że oni mają prawo takiej sprawie głównej nie tylko się przysłuchiwać, ale zaważyć w niej swojemi: *vox populi vox Dei*.

Butniejsi już w podwórzu poczęli się miotać.

— Nie może to być... posłami jesteśmy, posłano nas tu, abyśmy *visu et auditu* przekonali się, jak się u nas sprawiedliwość wymierza. Oho! oho! nie wy-

pchną nas. Drzwi obleżemy, pójdziemy do króla, do kanclerza... Król malowanym nie chce być, a my też posły malowanymi nie myślimy.

Ale pogróżki te były próżne. Chłodniejsi odparli:

— Do łaski króla jegomości stukać trzeba, siłą drzwi nie weźmiemy, a te już dla nas zaparte są.

Po mieście poniosła się sprawa ta... pójdą li posłowie precz, czy doproszą się na arbitrów?

O panach Zborowskich, krom Jana, nikt nic nie wiedział. Mówili jedni: — Blisko są, gdy glejty otrzymają, zjawią się i staną, bo się nie obawiają, niewinność ich *clariol sole*. Drudzy mruczeli: — Nieglupi się pan podczaszy albo i marszałek sam w ręce kata oddawać, choćby glejty dostali, przez prokuratora się obronią, a nie staną.

Kasztelan gnieźnieński zagadywany milczał.

Na zamku cicho było i zamknięto. Senatorowie niektórzy odwiedzili kanclerza; przyjął ich tak milcząco, jakby nie wiedział nic. Ponad wszystkim stał król...

Chciał go łowczy wyciągnąć do lasu, odmówił. Innego zwierza miał na myśli.

Czasu innych sejmów ochoczo się rozrywano i odpoczywano po obradach, teraz patrzyli sobie w oczy ludzie i zdali pytać: Co to będzie?

Nazajutrz drzwi dla posłów stały zapatre, nie wpuszczono ich.

W korytarzach i na podwórcach niepokój wielki, żal i wstyd; wybrano poselstwo do króla.

Po niejakiem oporze wpuścić kazał, ale groźno zastrzegł, aby się cicho zachowywano. Jak studentom w klasie dano naukę: *Silentium!*

Dnia tego żywiej się zawzięto.

Wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wstał, nie oglądając się na majestat pański, i śmiało rzekł, że król we własnej sprawie sędzią być nie mógł, głosu nie miał... aktorem i sędzią prawo być mu nie dozwalało ogólne.

Batory zbladł, słuchając; jak zazwyczaj, gdy go najmniejszym słowem dotknięto, ręką uderzył po rękę.

kojeści szabli... Królem był, prerogatywy sędziowskiej odebrać sobie nie dawał. Sprawa była Rzeczypospolitej, nie jego własna. Zdrajcy jej grozili.

Wojewodę poznańskiego nikt poprzec nie śmiał, krom prokuratora Zborowskich, a król protestacji tej ważyć nie myślał, odpychał ją.

Wszystko się tak usuwało precz, co dalszemu przebiegowi sprawy stawać mogło na przeszkodzie, i instygator począł czytanie listów Krzysztofa, które stanowiły podstawę oskarżenia...

Własne jego pismo obwiniało podczaszego, ale do tego, co w nim stało, przybyły nowe nowiny, stare grzechy...

Podczaszy począł już za życia Zygmunta spiskować na życie ostatniego z Jagiellonów, spiskował nieustannie, zdradzał ciągle, wziął okup od hospodara wołoskiego, od Batorego czasu bezkrólewia dostał dwa tysiące czerwonych złotych na potrzeby Rzeczypospolitej, a z nimi uszedł na dwór cesarski; spiskował z Samuelem i Ciolkiem na życie Batorego, zmaśniał się z wielkim kniazem moskiewskim, służył cesarzowi.

Oskarżenie było, jak kamień, przywiązany do szyi Krzysztofa; nie mógł z nim już utrzymać się na wierzchu, utonąć musiał. Czemże go obronić kto mógł, kiedy własne listy świadczyły i potępiały?

Przyjaciele Zborowskich stali niemi, kasztelanowi lży ciekły po twarzy. Cały przebieg życia Zborowskich świadczył, jak byli dla króla usposobieni i jaki duch ich ożywiał. Obrona już wszelka teraz zdała się niemożliwą; szlachta pozostała milcząca, przywalona tem oskarżeniem.

Dla wszystkich jawnem było, że odeprzec tych świadectw Zborowscy nie mogli, chyba prawnemi wybiegi, z sądu i form jego próbując się wyłamywać.

Główny głos w obronie przypadał, oprócz jurysty, który miał statutami i prawem ogólnem szermierzyć, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, a ten sam dawniej, gdy mu król listy ręką Krzysztofa pisane ukazywał, pytając, czy pismo jego poznaje, zmuszony był przyznać

autentyczność. Cóż teraz mógł przeciwko niej powiedzieć?

Listy Krzysztofa nieopatrzone mówiły wiele, wygadały wszystko... Składano oprócz tego jakiś testament, czy zeznania Samuela, który przed śmiercią do wszystkiego się przyznawał i spiskom z bratem nie przeczył.

Lecz coś w tych Samuela skryptach być musiało osłabiającego ich znaczenie, bo niewiele o nich mówiono.

Z oskarżenia wychodził szczególnie podczaszy i Samuel jako dwaj wrogowie króla, którzy ustawicznie na życie jego nastawali.

Ciolek i Samuel w Krakowie chcieli z ptasiej rusznicy strzelać do niego. Zborowski później szukał miejsca w lesie do zasadzki. Krzysztof sam wprowadzić nie porywał się do czynu, ale do niego podlegał. Oprócz tego, gdy król z wielkim kniazem moskiewskim wojnę wiódł, on się z nim zmaśniał, pisał do niego, przysięgał mu służby wierne, przesiadywał na dworze cesarza...

Na marszałku nie ciążyła tak wyraziście wina jawna, ale stosunki jego z braćmi, zjazdy i umowy w Złoczowie, po innych miejscach dowodziły, że trzymał z nimi, jedno myślał i nie odwodził ich od zamachów.

Na Janie jednym nie było skazy, nie mieszano go też wcale do sprawy braci, ale on sam dobrowolnie przy nich stawał... Na obronę co tu wywieść było można? Chyba tylko starać się zyskać na czasie. Żądano dylacji, odroczenia...

W ciągu tych rozpraw król był ciągle przytomnym. Słuchał, milczał, spoglądał groźnie. Wielu rozpraw po polsku rozumieć nie mógł i musiano mu je tłumaczyć. Potrząsał głową obojętnie. Co tu ważyły słowa i subtelne wywody, wina leżała jak na dłoni. Batory był swojego, pewnym!

Wobec tego upokorzenia nieprzyjaciela, bezpieczeń, ani się rozpogodził, ani złagodził.

Ilekroć żądano ulgi w formach, odmawiał... odro-

czenia nie chciał dopuścić. Prędko i stanowczo musiała się rzecz rozstrzygnąć. Przy nim i Zamojskim musiało być zwycięstwo; nie nie pomagały wykręty i wybiegi prawne.

Kasztelan gnieźnieński musiał jednak stanąć w obronie. Zadanie było trudne, prawie nie do podźwignięcia. Co miał powiedzieć przeciwko własnoręcznym listom Krzysztofa? Prawda, charakter i pismo były do Krzych-nikowych podobne, ale czyż pisma sfalszować i podrobić nie można? Wszak znano powszechnie Dymideckiego, który rękę króla Stefana tak doskonale naśladował, że jego pisma sam on od własnego rozpoznać nie mógł.

Jan dawał do zrozumienia: *id fecit cui prodest!*

Dowodzić nie mógł fałszerstwa, ale je przypuszczał, bo braci znał z innej strony, bo zdrajcami ich nie uznawał; wiedział tylko, że prześladowani chcieli się oba usunąć na Malte i kraj zupełnie opuścić.

Wszystko to niewiele zaważyć mogło obok brzemienia, jakim instygator obciążył Zborowskich.

Naostatek ciążyło na marszałku i na podczaszym to nawet, że mimo glejtów nie wazyli się sami stawić przed sąd. Pytano o nich codzień, gdzie byli? — Nikt nie wiedział; o podczaszym twierdzono, że się zawczasu schronił na cesarską ziemię. Marszałek też się nie ukazał, choć daleko mniej był obwinionym i narówni z Krzysztofem potępionym być nie mógł.

Reszta sprawy już formą tylko być mogła. Król się widomie niecierpliwił; jednego dla choroby na sądy nie przyszedł, inne zeszły na długich, a daremnych wywodach niewinności. Czas upływał.

Na obliczu królewskiem z każdym dniem dobitniej malowało się zniecierpliwienie. Czasem nie słuchał i nie pytał, siedział wpatrzony w ziemię i drgał tylko, gdy silniejszy głos go obudził.

Tak samo Zamojski w swych papierach przebierał, mało albo nie się nie odzywając, nie mieszając z dobrej woli, czuł się niepotrzebnym.

Po senatorach można już było odgadnąć, za kim

stana i głosować będą zmuszeni. Trzej tylko, o których mówiliśmy, z panem wojewodą poznańskim na czele, widomie ze Zborowskimi ciągnęli.

Posłowie, co tak z początku hałaśliwie się znajdowali, siedzieli teraz, jako świadkowie, lecz twarze im się powydłużały, czoła pomarszczyły... stracili wiele z pierwszej swej buty i śmiałości. Przysgniotły ich dowody, czytali też z twarzy senatorów, że Zborowscy sprawę przegrają.

Najpobłażliwszy z sędziów nie mógł oczyścić podczaszego, tak się on sam oplątał i związał.

Na mieście, gdy się dzień skończył, szlachta nie bujała po dawnemu, nie było się czem weselić. Król zwyciężał — Zborowskich *hodie mihi, cras tibi*, brzmiało głośniejsze, niż wszystko. Wolnościom szlachty i panów przychodził koniec!

Począwszy od Zborowskich, Batory musiał iść dalej i nie dopuścić, aby mu kto stawiał opór.

Przyszłość stawiła się czarno i posępnie. Do Zamojskiego nikt się nie zbliżał, nikt go nie szukał, on też nikogo.

Batory nawet o ulubionych łowach zapomniawszy, nie dawał się w las wyciągnąć. Sokoły i psy stały pozamykane lub z dozorcami swymi wychodziły tylko na przechadzki.

Warszawa była smutną, a panom posłom zaczynała się stawać niewygodną i nudną.

Rola posłów, o których wybór tak nalegał Krzysztof, bo na nich rachował, stawała się coraz trudniejsza, a raczej schodziła na wcale nieznaczącą. Domagali się oni, aby przysłuchiwać się mogli; wpuszczono ich.

Pozostawało panom senatorom objawić zdanie, a królowi na mocy jego i własnego przekonania wydać wyrok. Że Stefan surowo miał skarcić zdrajcę kraju i zamach przeciwko sobie, wiedzieli wszyscy.

Posłom nie pozostawało nic, tylko się rozmówić z panami senatorami i okazać im, że oni wraz z innymi starać się byli powinni wyrok ostateczny złagodzić, odroczyć, słowem nie potępić podczaszego i nie zabić

imienia Zborowskich. Zgłosili się o to aż do króla jegomości, dając krokiem tym uczuć, iż i oni czuli się obowiązani coś czynić.

Król lekceważąco odpowiedział. Pozwolił posłom znieść się z panami senatorami, ale żeby to żadnego charakteru urzędowego nie miało i znaczenia nie nabrało, kazał im oznajmić, że w sali obrad gromadzić się nie dozwala. Mogą sobie w prywatnych mieszkaniach, pojedynczo mówić i naradzać się z nimi.

Odpowiedź ta miała znaczenie jasne:

— Nie mieszajcie się do tego, co do was nie należy... Możecie płakać i żałować się nad losem Zborowskich, ale ciosu od nich odwrócić nie potraficie; urzędownie zaś, na sali, mieszać się do sprawy nie macie prawa...

Posłowie odeszli odprawieni z niczem. Śmielsi z nich odzywali się butnie, ale nie mogli począć nic. Król był w swoim prawie.

Po kątach, po klasztorach, refektarzach, gospodach szlachta się zbierała do swych senatorów.

— Nie więc dla Zborowskich nie uczynicie?

— Nie możemy nic.

Naciskano z jednej strony, odpierano z drugiej. O królu mówili wszyscy, że nie ustąpi. Czegoż się więc miał spodziewać podczaszy? Co najmniej dekretu takiego, jaki ciążył na Samuelu --- wywołać go miano... Ale banieja Samuelowa nie ściągnęła za sobą infamji, a tu... zażartość króla i moc dowodów winy kazały się nawet ostatecznej kary, równającej głównej, spodziewać.

Kto ze dworu od kanclerza mógł się co dowiedzieć, przynosił tylko najgorsze zapowiedzie. Infamja go czekała... *Crimen lesae Majestatis*.

Spojrzawszy na oblicze Batorego, ani się było można spodziewać, aby ten mąż nieubłaganego serca mógł się ulitować. Wrogom odplacił nienawiścią najpotężniejszą; ani chciał, ni umiał się chrześcijańskiem uczuciem uśmierzać.

W ostatnie dni rosło poruszenie w umysłach, a juryści mu pokarmu dostarczali, dowodząc, że stare prawa i statuty, szczególnie przywilej Aleksandra poszanowane nie były, że sprawę sędzono nie obyczajem i formą zwykłą, ale samowolnie i nieprawidłowo.

Milezeli na to panowie senatorowie, więc do posłów należało zaprotestować przeciwko winowajcom na korzyść królewskiej władzy. Podejmował się tego Kazimierski.

— Słyszysz — mówili doń, śmiejąc się, drudzy — widziałeś już raz, jak się król jegomość za kord pochwycił; powiedz mu co, a zrozumie li, znowu się porwie za żelazo, bo ono u niego argumentem jest najpotężniejszym.

— A ja to korda u boku nie mam? — odparł Kazimierski. — Albo to ja nie od tych idę przodków, co za Jagielly pergaminy w izbie na szablach roznosili w przytomności majestatu?

Dosyć było Kazimierskiemu w ten sposób bębenka podbić, aby pewno jak najgwałtowniej wystąpił.

Tymczasem odkładano ostateczne ferowanie wyroku, choć go wszysej czytali na czole Stefana i w ponurem obliczu Zamojskiego.

Przyszło do głosowania... i stało się to, czego oczekiwano, krom trzech senatorów świeckich, wszysej inni znajdowali podezaszego winnym, występki jego doowiedzionym.

Król coraz bardziej rozgorączkowanym zjawiał się na sali, coraz niecierpliwszym, coraz groźniejszym... Za szablę brał i ledwie go Zamojski wejrzaniem mógł mitygować.

Sprawa, poczęta zaraz pierwszych dni sejmowych, przeciągnęła się do jego zamknięcia, uznano Krzysztofa winnym... Świadkowie musieli jeszcze przysięgać.

Król z rozdrażnienia zachorował. Wrzawa i protesty dokoła rosły. Wołano o zwłokę pod pozorem choroby oskarżonego; nie dopuścił jej król dlatego, że oświście i tak nie stawał.

Zamojski, przy jednym ogniu swoją też pieczęć

przystawiwszy, pozwał o potwarz niedowiedziona, jakoby przez Pruskiego podczaszego truć zamierzał.

Dnia 12 lutego marszałek koronny czytał:

„Przeto tego Krzysztofa Zborowskiego król jegomość poczeiwości odsądza raczy i wszystkie prerogatywy, i urzędy, i wolności, coby stanowi szlacheckiemu należały, od niego odejmuje, a bezecnym go czyni, a nie jedno jego, ale i te wszystkie, którzy mu *consilio, auxilio, favore* (radą, pomocą, sprzyjaniem) pomocni byli, albo w domach i majątnościach swych przechowywali, taką winą karać, *cum confiscatione omnium bonorum mobilium et immobilium* (z zaborem wszelkiego mienia, tak ruchomego, jak i nieruchomego) i nie zaniecha król jegomość dać mandatów do wszystkich starostw, aby był iman i na gardle karan; ażeby wiadomość tego wszędzie doszła każdego, przyznawa król jegomość woźnego, aby publikować to po wszystkich placach wedle prawa. A iż też miał sprawę z panem kanclerzem o potwarz, którą ułożywszy — nie dowiódł, o co dekretem jegomości był skazan rewokować to, to jest wedle prawa odszczekać, *in defectu* na dnie wieży rok siedzieć, jako o głowę i tak płacić, to w dość nieuczynieniu ma go infamją skarać król jegomość, iż temu tedy dość nieuczyniwszy dekretowi infamji podległ, a pod tę poenę podpadł, tego bezecnego Krzysztofa Zborowskiego znowu król jegomość czei odsądza; w takiejże sprawie, takiej poenie podpadłszy i od pana Dzierżka, po trzeci raz go król jegomość czei odsądza“.

Po trzykroć więc infamem obwołany był Krzysztof, a wyrok na niego sroższym był, niż ów doraźny na Samuela.

Nie było litości, nie było dylacji, nie pomagała choro-
roba, nie chciano słuchać obrony.

Milczeniem grobowem przyjęto czytanie wyroku. Posłowie patrzyli po sobie. Prawomocnym był; do Boga tylko odwołać się było można od niego.

Lećz jakby to wszystko nie nasyciło jeszcze ani

króla, ani Zamojskiego, król patrzył posępnie i jeszcze bardziej wyzywająco, kanclerz milczał.

Posłowie się nie odzywali dnia tego. Sejm miał się zamknąć.

Wyrok na Zborowskich, bo choć imię Andrzeja objęte w nim nie było, stał on w nim dotknięty, wymieniony, potępiony, uczynił wrażenie straszne.

Wieczorem wszedł kanclerz do króla, który samotny siedział w sypialni, jeszcze na żółcie chorując zburzoną. Buccella stał przy nim, lekarstwo dawał, ale co innego radził: rozrywkę, ruch, polowanie!

Król głową potrząsał.

Na dwóch zwyciężcach triumfu nie było widać, tak jak ani na jednej twarzy nie można było wyczytać radości z tego dekretu. Nie zaspokajał on nikogo, bo Stefan i kanclerz wiedzieli, że Zborowscy-banicy będą straszniejsi może, niż gdyby spiskowali w domu. W spadku po nich zostawała szlachta zburzona i zniechęcona do króla.

Przyszło nareszcie zamknięcie sejmu. Wystąpił Kazimierski w imieniu posłów, mówił od całego ich zgromadzenia, co przemówieniu wagę nadawało. Mówca był może nie dosyć jasny i pan siebie, aby obmyślił rzecz swoją, ale miał nieustraszoną odwagę.

W imieniu starych praw i porządku uderzał na innowacje samowolne, na nieposzanowanie tradycji; mówił otwarcie w oczy królowi, że w sprawie Zborowskich nie poszanowano praw i przywilejów, protestował głośno, gwałtownie, nie tak oratorsko i wymownie, jak gorąco i zuchwale.

Oko w oko, z ręką podniesioną, nie unikając wejścia króla, wypowiedział jasno wielki żal, jaki miała szlachta-posłowie do pana.

Batory słuchał i bladł, drżał i na jego twarzy po-falduwanej coraz dobitniej piętnowały się gniew i duma.

Wstrzymywał się. Arcybiskup gnieźnieński, który z niego nie spuszczał oka, drżał także i zdawał się chcieć stanąć pomiędzy zapaśnikami, którzy się wy-

zywali wzrokiem. Ale Kazimierski był spokojny, Batory nie panował nad sobą; poseł jurystą, król się czuł żołnierzem. Pierwszy z nich nawykł do pocisków słowa, drugi na kule prędzej, niż na obelgi wystawić się był gotów.

Gdy Kazimierski dokończył, porwał się król z siedzenia i wybuchnął.. Oto były słowa jego, jak je świadkowie dla potomności spisali:

„Nie jestem słuźalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, ani mi też wprzód, nimem w te kraje zawitał, brakło na pożywieniu i odzieży. Miłuję ja wolność waszą i takowej za wolą Boską przestrzegać będę, lecz też nigdy nie ścierpię, by moja swoboda w czemkolwiek naruszoną, uszkodzoną, lub najmniej ubliżoną została! Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę na głowę moją włożyli, jestem więc królem waszym, nie zmyślonym ani malowanym, ale prawdziwym i prawnym, chcę przeto rządzić i panować, i nie dozwolę, aby kto nade mną panował. Jesteście stróżami waszej własnej wolności: nie chcę więc, abyście byli moimi klechami, strzeżcie zatem i brońcie waszych wolności, lecz dajcie na to pozór, aby ta wolność wasza źle użytą nie była. Rzecz godniejsza pociąga za sobą mniej godną, pęta podwójne bardziej wiążą, a każda moc z rozerwaniem wężła słabnieje.

„Celem każdej rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodu, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe.

Panowie senatorowie! albo mi uczynicie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszemi związali, a ja się pomszczę krzywdy mej“.

Król, kończąc, tak wzruszonym był, że się chwycił do korda, nie już jak wprzód, grożąc im, ale gotów go obnażyć, co ujrzawszy Karnkowski, arcybiskup gnieźnieński i inni senatorowie przypadli, otoczyli, rzucili się przed nim na kolana, starając się wielki gniew ukoić — i król powoli ochłonął.

Walka była nie doszła, odłożona, ale pokoju się spodziewać nie mógł nikt.

Mrucząc, szemrząc, napoty wylekła, nawpół obrażona szlachta szła z zamku przez, gdy kanclerz i mała gromadka króla zwolna do jego pokojów odprowadzała.

Strwożyło się wielu, ale serce nieczyje nie nakłoniło, umysł nie uspokoił; postępowanie było zbyt gwałtowne z ludźmi, nienawykłymi do niego oddawna.

Kłoby był wówczas przewidzieć mógł, że ten Zamojski, co tu za królewską władzą i w jej obronie stawał, wkrótce przeciwko następcy Stefana z tymi samymi wiechrzycielami w jednym wystąpi szeregu!

Nieprędko potem owe dekrety na Zborowskich zdjęte z nich zostały.

IX

Gdy się to działo, coraz podnosił głowę Wojtaszek, bo już wkrótce panów Zborowskich i ich przyjaciół nie miało stać, a on, oswobodzony od prześladowania, mógł się, jako chciał, po świecie obracać.

Tytuł lutnisty jego królewskiej mości dobrze mu się nadawał, tyle tylko niewygodnym był, iż wiązał go do miejsca i dworu. W Krakowie się teraz na to nie skarżył, bo mu tu nikt nie nie mógł uczynić.

Nie ważyłby się żaden Stadnicki, nie myśleli o nim inni, a choć czasem spotykał Włodkową, nie obawiał się ani jej, ani ludzi. Cicho się to wszystko przesuwiało.

Włoski więc kapelusik z piórkiem włożywszy na głowę, której włosy trefił starannie, z lutnią na plecach, wybierał się do miasta i po znajomych domach, chętnie przyjmowany, piosnki śpiewał, albo wygrywał na strunach cudne rzeczy. Dziwiono się biegłości i wynoszono go pod niebiosa.

Dziewczęta, gdy ulicami przechodził, długo za nim, uśmiechając mu się, patrzyły i wzdychały. Śmiały był i nie ustępował przed nikim.

Gdy go rozpytywano czasami o pochodzeniu, plół baśnie osobliwe, nie przyznając się do habitu, który nosił, do chleba pauprów, który jadł, do zdrady, jaką na Samuela dokonał... którą Krzysztofa i Andrzeja na wygnanie skazał.

Triumfował może w duchu, ale pociecha a duma z odniesionego zwycięstwa zmieszana była z goryczą.

Sam nie wiedział, czemu i złego pana, którego nienawidził, i tych ludzi, jakich tam znał koło niego, nawet głupiej Motrunki, co go tak kochała, żałował, a gdy się czasem o tej przeszłości zadumał, siedząc na ławie w antykamerze, to mu lutnia niepostrzeżenie wyślizgiwała się z ręki i padała na ziemię, inni lutniści śmiali się z niego, a on gniewał się i burczał.

Czasem wśród pieśni coś mu się przypomniało, ukuło w serce, zaciemniło oczy, głos odebrało.

W nocy we śnie zawsze tylko widywał swą przeszłość, nigdy teraźniejszości. Żył tak, powiedzieć było można, żywotem dwoistym: we dnie na dworze króla, w nocy — na dworze Zborowskiego! Sen go w przeszłą znowu rzucał niewolę, a w nim odnawiało się, co przeżył i poplątane dusiło go zmorą.

Tam on nieszczęśliwym był, prawda, ale kochał i kochali go czasem, wszyscy mu byli swoi, a tu nikt nań nie zważał, był obcy wszystkim, nienawiści nawet nie obudzał, a i taby była lepsza od tego, iż go nie widziano, nie rachowano, nie słuchano.

Byłóż to życie?

Wojtaszek myślał, iż sobie jakieś nowe zrobić trzeba, lecz by je począć, gdzieś musiał jak pajak nitkę przylepić do ściany i snuć przedzę i czatować.

Inaczej on życie rozumiał. Błądził tak i ziewał. Czasem znudzony, szedł gdzie do gospody i kazał dawać wino, pił sam, upijał się, śpiewał, szalał, zasypiał. Wstawał potem rozbity.

Na ładnej też jego twarzy ten rok wydeptał przedwczesne marszczki i pomalował ją żółto. Skórę obciągnął na kościach ciaśniej, a kości stały się wydatniejsze.

Gdy się przeglądał w zwierciadélku, które zawsze przy sobie nosił (skradł je niegdyś Anusi), widział, że się zestarzał, a czuł się jeszcze tak młodym!

Chciał coś począć, ale sam sobie zostawiony — nie umiał. Przyszedł mu na myśl wreszcie Węgier. Cobar, który zawsze jeszcze był przy królu, i gdy z nim przyjechał do Krakowa, Wojtaszek się stawił raz u niego.

Nie przypominał go sobie nawet z początku.

— A toś ty jest? — rzekł.

— Tak, miłościwy panie, — odparł, z nogi na nogę przestępując, lutnista — przyszedłem do łaski waszej. Trwam, jak widzicie, na dworze; honor to dla mnie, że się zwę lutnistą i śpiewakiem jego królewskiej mości, ale mnie tu nikt nie potrzebuje, ani słucha. Drużdy muzycy koszyki plotą i strzały strugają, nie mając co czynić, mnie też nudno, a młodość uchodzi.

— Czegoż ty chcesz? — odparł Cobar posępnie. — Jurgielł ci płacą, barwę ci dają, jesz z dworskiej kuchni.

Wojtaszek się poruszył, jakby nie wiedział już, jak tłumaczyć.

— Chcesz li ode dworu iść precz? — zapytał Cobar. — Nikt cię nie trzyma, ale patrz, abyś tego nie żałował, panów, cohy lutnistów potrzebowali i płacili, jest niewiele. Cóż poczniesz?

Wojtaszek kapelusik miał w rękę.

— Nie wiem, co począć, ale tu z nudów i próżnowania mało człek nie kona... Trzeba iść w świat! Trzeba w świat!

— Ufasz, widzę, w to, że Zborowskich już niema i nikt cię nie ułapi; ale przyjaciele ich żyją, a o tobie pamiętają, żeś ich na infamję dał i na wywołanie...

— Oni dziś nie nie mogą, a sami się w mysie dziury chować muszą — rzekł Wojtaszek.

— Więc ci się swobody chce? — odezwał się Cobar. — A! no, myślę, że ją łatwo jego królewska mość da, ale jeśli sądzisz, że wiatyk dostaniesz szcudry, mylisz się, Wojtasiu. Pan jest oszczędny, a wojny nas

dużo kosztują. Mógłbyś u kanclerza co wyprosić, boś i jemu przysługę uczynił, ale on także szczerem nie jest do zbytku.

— Popróbuje, — rzekł Wojtaszek — a już miłości waszej tylko o odprawę i świadectwo dopraszać się będę.

Cobar ruszył ramionami i odprawił go do pojutra. Stał się Wojtaszek, ale Węgier się przyznał, że zabył mówić o nim.

— Przyjdź jutro — dodał.

Przywłókł się nazajutrz, było za wcześnie, a potem Cobar i pan do Niepolomic odjechali.

Znowu więc na ławie siedząc, ziewał Wojtaszek i czekał, a nudził się straszliwie... a zamek mu już tak dojadł, że na jego mury patrzeć nie mógł.

Włóczył się po ulicach... Jednego dnia spotkał ojca Czesława. Mnich go poznał. Chciał mu ujść z drogi, za późno było.

— A co, zdradliwa ty żmijo! — odezwał się do niego dominikanin — a co? Jesz chleb w krwi maczany, smakuje ci? he?

Wojtaszek nie nie odpowiedział, lutnię trzymał właśnie w ręku, brzdąkał po strunach i czekał obojętnie, aż go mnich minie.

O. Czesław patrzył ze wzgardą na lutnistę.

— Samuel choć w chwili zgonu skruszon był — rzekł. — Kto wie, może mu Pan Bóg przebaczy, a ty? Wojtaszek w bok spoglądał.

— Ja ci powiem, co cię czeka — rzekł ksiądz. — Ty zginiesz marnie... w tobie dusza dawno zgnęła! I poszedł.

Lutnista ruszył ramionami i zamruczał:

— Klecha obrzydły!

Obejrzał się na niego. O. Czesław szedł spokojnie, ręce w rękawy pozakładawszy. Stawał czasami, witał, mówił coś i mijał przechodzących, aż wśród nich zniknął.

Jednego dnia, gdy się tak Wojtaszek włókł Grodzką ulicą, spotkał oko w oko Borowskiego, ale nie był to

ten Borosio od sokołów, którego Samuel tak lubił: zbiedniał, wydarł się i wychudł na trzaskę, a nogami włóki, bo co ciało całe straciło, wszystko do nóg mu poszło. Te były, jak klody; kijem się podpierał, co chwilę stawał i dychał.

Poznawszy Wojtaszka, jak wrósł w ziemię i stanął; na złość mu lutnista zbliżył się do niego.

— Czołem tobie, Borosiu! A co? a co? nie stało Samusia... Daleś go wziąć, sam drapnąwszy... cóż teraz poczniesz? Na dziady ci pod kościół, na dziady!

— Kiedy Zborowscy głowę dają, co za dziw, że Borowski na dziada zejdzie, — odparł, trochę się ożywiając, biedaczysko — to tylko Wojtaszkom, jak kotom się dzieje. Żeby padli i z wieży, zawsze na nogi!

Wojtaszek rozdobruchał się.

— Wiesz, jam królewski sługa, a ty?

— Ja niczym.

— Cóż robisz?

Borowski nie odpowiedział.

— Jest tu was dużo takich niedobitków, jak ty? — pytał Wojtaszek.

— Nie znam nikogo.

— A na Franciszkańskiej ulicy?

— Pusto dom stoi... kto w nim ma być?

— Cóż z Olesiem się stało? — ciągnął Wojtaszek.

Borowski, jakby się uląkł tego wypytywania, nagle zamilkł.

— Nie wiem — rzekł, gdy mu Wojtaszek pytanie powtórzył.

Szydersko i złośliwie zmieniła się twarz Wojtaszka.

— A z Anusią?

To zapytanie poufale, bez poszanowania córki pana, oburzyło Borowskiego i burzyć coś począł, a kij podniósłszy, chciał iść dalej.

— Cóż? I gadać ze mną nie możesz?

— A poco? — odparł Borowski.

Na całe gardło i bez przyczyny począł się śmiać Wojtaszek... i poszedł w jedną, a Borowski w drugą stronę.

Biedny stary, choć może zgrzeszył przestraczem w pierwszej chwili, odpokutował za to srodze. Dręczyło go sumienie, pokoju nie miał. Dawali mu litościwi przytułek w domu na Franciszkańskiej ulicy, tam się tulił, a żył, jak te ptactwo, które żywi opatrność Boża. Widok Wojtaszka nawskroś go przejął; pytanie o Anusię przestraszyło.

Powlókł się do domu.

W dziedzińcu właśnie stały koczki i niewiasty z nich wysiadały. Poznał Włódkową i Anusię. Choroba uczyniła go bojaźliwym.

— Kto wie, — rzekł sobie w duchu — poco ten złoczyńca pytał o naszą Annę? Zbój jest...

Powolnym krokiem przysunął się do ganku. Poznała go Anusia.

I w tej rok jeden wielką uczynił odmianę. Wyrosła, zmężniała, wypiękniała, a ruchy, głos i wejrzenie miała tak przypominające ojca, że Borowskiemu, patrząc na nią, powieki nabrzmiały.

— Borosiu! — zawołała do niego — tyś to, biedaku?

— Jamci, paniusiu moja, ale nie Borowski dawny, tylko już ono chlapeć, który z niego pozostał.

I poczał, nogami wlokąc, iść ku niej.

Stała i spoglądała na niego zamyślona; była to okruszyna przeszłości, po której ona płakała.

Przywłókszy się, oparł o słup przy ganku, zdjął czapczynę i patrzył na nią przez łzy, jak w tęczę.

— A! paniusiu, paniusiu! — odezwał się — gdybyście wy wiedzieli, kogom to ja spotkał i mówił z nim?

Wzrokiem tylko wyzwała go na odpowiedź Anna.

— Złoczyńcę tego, Wojtaszka! — zawołał Borowski. — Śmiał zdrayca zbliżyć się do mnie! Śmiał mówić!

Słów mu już nie stało.

— A! gdybym siłę miał! — rzekł Borowski.

— Jest tu? — złamanym i drżącym głosem spytała Anna, bledniejąc.

— U króla na dworze!

— Mówili, że znikł, że go nigdzie dopytać nie mogli — dodała córka Samuela. — Ty mi dobrą nowinę

przynosisz, Borosiu. Jest tu? Wszak my z nim jeszcze nie skończyli rachunku!

I nagle uskokczyła przez próg do domu, bo więcej już mówić nie mogła, łzy ją dławiły.

Gdy ciało nieboszczyka Samuela do zamku Spytków i do grobów ich wieźć miano, wszyscy stali otaczając trumnę, a marszałek Andrzej przemawiał do tłumów... Anna też w pierwszym rzędzie oczy zapłakane tuląc, sparta na ręku starej sługi — szlochała. Jedna jej ręka zwisała bezładnie spoczywała na sukni żałobnej. Nagle uczuła, że jej ktoś w dłoń ciśnie węzelek i postyszała głos szybki, nieznany nad uchem:

— Ojciec ci to przysyła... Zmęczona była w krwi jego!

Nim Anusia, oczy odsłoniwszy, obejrzała się, aby zobaczyć, kto jej to oddawał, już opończą i żałobnym kapturem okryty mężczyzna był o kilka kroków, cisnął się precz i znikł w tłumie.

Trzymała w ręku coś zawiniętego w chustę białą, a gdy ją rozwiązała, zobaczyła ową znaną sobie, jedwabną, którą Samuel miał w podarku od chana perекopskiego szytą. Krzyknęła, ujrzawszy ją, bo cała sztywna była i czarna od zaschłej na niej krwi. Z tą chustą ojciec dzieciom zemstę przekazywał.

Dlaczego nie oddano jej Olesiowi?

Anusia przycisnęła ją do piersi, całowała, płacząc, z nią szła całą drogę za pogrzebem, nie pokazując bratu, z nią klęczała przy trumnie ze zwłokami, gdy ją do sklepu spuszczać miano; a wreszcie przy oltarzu przysięgła, cisnąc ją, pomstę zabójcom ojca.

Oleś wcale o niej nie wiedział.

— Mnie ją ojciec przekazał — mówiła do siebie. — On ma inne przeznaczenie, ja tylko zemstę za ojca. Oddam mu ją, jeśli umrę, nie spełniwszy, com powinna.

Od tej chwili Anna nie zdjęła jej z piersi ani na chwilę, a gdy płakała po ojcu, moczyła ją łzami.

Ale dziewczynie, kobiecie łatwiej zemstę poprzysiąc, niż ją dokonać.

Teraz, gdy jej Borowski o Wojtaszku oznajmił, chustka zapiekła ją na piersiach, poruszyła się, jakby głos z grobów usłyszała:

— Ten moim zabójcą!

Na kimże się słuszniej mścić mogła, jak na nim! On był sprawcą!

Chodziła przez wieczór cały z tą myślą, powtarzając sobie:

— Krew ojca woła o pomstę nad nim!

Nazajutrz zerwała się rano. Szukała ludzi, mierzyla ich oczyma, wybierała, dumiała, — wtem się jej nastreczył Luzicki.

— Chodź za mną — zawołała do niego, wiodąc z sobą żywo do swej izdebki.

— Kochałeś pana? — poczęła prędko, zwracając się do stojącego w progu. — Prawda? kochałeś go? Placzesz po nim? Wiesz, kto go wydał i zdradził? Damyż my żyć mu i chwalić się, że pokonał Zborowskiego, nikezemnik ten, Wojtaszek? — On jest tu! Szukaj sobie pomocników, wymyśl sposób, ale go zabić potrzeba... tam pod Lubranką, gdzie ojca ścięto... i ciało rzucić, aby je psy rozszarpały!

Mówiła cała drżąca; Luzicki słuchał, chwytając wyrazy i powoli wyrozumiewając, czego po nim wymagała.

Anusia po kilka razy powtórzyła mu:

— Zabić go! zabić!

Stary sługa, zwiesiwszy głowę, dumiał, nie odpowiadając jeszcze.

Anusia mówiła ciągle:

— Służę u króla na dworze, ale z zamku go łatwo wywabić można. Alboż na śmierć nie zasłużył? Czyż my tak już słabi jesteśmy, że jednego nawet nie zmożemy?

Luzicki był już przyszedł do siebie.

— Poczekajcie mało, paniusiu moja, — rzekł, wassa gładząc — dajcie mi się rozpatrzyć. Ja się nie-

tylko jednego, ale i dziesięciu nie zlekne, ale potrzeba się tak sprawić, aby śladów na Zborowskich i ich sługach nie było. Dajcie mi czas. Nikt się o niego nie upomni, nawet król, bo to wiadoma rzecz. — zdrajcami się posługuje, ale ich nie żywi i nie miłuje. Stanie się po waszej woli, ino... cichol

Anna zbliżyła się do niego.

— Co mam pieniędzy, portugalów, maneli, kanaków resztki po matce, oddam wszystko! Ja tego nie potrzebuję, a wy ludzi zapłacić musicie. Pożyczę od Włódkowej, wezmę od Stadnickich. Olesiowi o tem ani słowa, on wiedzieć nie powinien. On do czego innego przeznaczony, na nim przyszłe odrodzenie domu naszego.

Palec położyła na ustach, oglądając się dokoła. Luzicki mało co już słuchał, tak był tem przejęty, co na niego spadło.

Pomścić się na niecnocie Wojtaszku!

Wszyscy oni tego pragnęli, serce mu stare biło po młodemu, dłoń drgała... Ukląkłby był przed tą Anusią, tak mu się wydała do ojca podobną, godną jego.

— W niej jego gorąca krew płynie — szeptał, wychodząc.

Luzicki odział się potem zaraz paradnie, nabity dobrze worek wsunął do kieszeni i poszedł na miasto. Pytała o niego później Anusia, ale nikt go nie widział, a nazajutrz odjeżdżać musiała. Z rana, gdy już wozy stały, zawołano go do niej.

— Luzicki — rzekła, oddając mu worek — jajechać muszę. Coś ty zrobił?

— Jedźcie z Bogiem, paniusiu, — odparł spokojnie sługa — jam jeszcze nie nie zrobił, ale ci się klne na pamięć nieboszczyka: stanie się, jakoś rozkazała! Czas na to mieć muszę!

Zamilkł nagle i powtórzył:

— Jedźcie z Bogiem. Nawet dobrze jest, że pojedziecie, wam tu być nie potrzeba.

— Pewnym jesteś swego? — spytała.

— Albo ja, albo on, — rzekł Luzicki lakonicznie —

ale Pan Bóg zdrajcom nie pomaga... Krew za krew być musi, aby pan w grobie pomszczony spoczywał.

Łzy mu płynęły z oczów, rozgorzał cały, pokłakił przed panienką, złożył palec na palec i krzyknął z zapalem:

— Chyba żyw nie będę, jeśli nie zginie!

Anusia tegoż dnia wyjeżdżać musiała z Włódkową, która wielce się o jej los troszcząc, nie doczekawszy końca żałoby, męża jej szukała i koniecznie wydać ją chciała. Nie mówiła jej o tem, ale wozila się z nią po domach pokrewnych, gdzie tylko o młodzieży zasłyszala.

I zamiast do Piekar, jechała zpowrotem na Proszowice. Miała tam młodego Tarnowskiego jakiegoś na oku.

Pod noc trzeba było stanąć w gospodzie we wsi, gdzie dworu nie było. Deszcz lał i noc nadchodziła, a gospoda, zajęta przez powozy pańskie i dwór, nie miała wolnego kąta. Ale służba tych, co pierwsi tu zajęchali, zrobiła im miejsce i izbę jedną opróżniono.

Podróżną, która się okazała tak gościnną, była niemłoda już pani, jak Włódkowa i Anusia cała w kirze. Służba też jej i konie nawet miały odzież i kapy czarne. Posłano dowiedzieć się, komu dziękować miały i Włódkowa w ręce plasnęła, słysząc:

— Andrzejowa Wapowska, kasztelanowa przemyśla! Żona to była niegdyś, wdowa dziś po tym, którego Samuel zabił. Z nią pod jednym nocować dachem? Jej dziękować? — wołała poruszona Włódkowa.

Wtem Anusia wstała z ławy.

— Ale ja jej nie tylko za gospodę dziękować powinienam — zawołała gorąco. — Wołał i posyłał do niej Zamojski, aby na ojca za zabójstwo instygowała; odpowiedzieć mu kazała, że Bogu pomstę poleca, a nad uciśnionym przemocą wywierać nie chce...

Z gorączkowym pośpiechem Anna, ani słuchając Włódkowej, wybiegła. Jak ojciec, nigdy ona nie na-

myślała się długo, gdy serce się w niej poruszyło. Wstrzymać jej już nie było można.

W drugiej izbie gościnnej zastała niewiastę poważną, we wdowim czepcu, z długim, czarnym różańcem w rękę, z twarzą spokojną i łagodną, zajętą chłopczykiem, który stał przy niej.

— Kasztelanowo! — zawołała Anusia od progu — przyszedłam wam dziękować, ale nie za gospodę! Nie, za miłosierdzie wasze, za wielką litość nad panem a rodzicem moim. Jestem córką Samuelową!

I płakać zaczęła.

Powstała powoli pani Wapowska, zbliżając się ku niej z twarzą smutną a łagodną.

— Dziecię moje, — rzekła — uspokój się! Nie masz mi za co dziękować... Pan Bóg mi dał pokój ducha i możność przebaczenia wszystkim, bo to jest prawo Jego, nie krew za krew, nie ząb za ząb, ale dobrem za złe płacić. I ja młodszą będąc, pobłądziłam też gorącą miłością dla pana a małżonka mego i pragnęłam zemsty za niego. Wozilałam zwłoki jego do króla, nie dawałam pokoju senatorom, godziłam na życie ojca twego, ale Bóg dał mi opamiętanie, a nauczył mnie, że pomsta do Niego należy, nie do nas, że my się mścić nie mamy prawa, a powinniśmy przebaczyć wszystkiemu!

— Jakto? wszystko? Nawet zdrajcy, który wydał na śmierć, nawet katowi, co zamordował? — przerwała Anna.

— Wszystko i wszystkim! — potwierdziła Wapowska. — Tak jest, dziecko moje. Pomsta Bożą sprawą być powinna, naszą — przebaczenie. Sędzią jest Pan nasz i mścicielem... a nam On kochać kazał nawet nieprzyjaciół.

Anna, jakgdyby po raz pierwszy w życiu podobne słowa słyszała, stała zdumiona, lecz biedne jej, długo uciśnięte serce zwolna otwierało się prawdzie.

Wapowska posadziła ją obok siebie i mówić zaczęła:

— Chrystus, Zbawiciel nasz, pierwszy nam przy-

niósł to prawo miłosierdzia, ten nakaz przebaczenia. Mieści się on w Jego świętej modlitwie... „i odpuść nam nasze winy...”

— Więc zemsta nie jest obowiązkiem? — podchwyciła Anusia.

— Grzechem jest — ciągnęła dalej Wapowska. — Dlatego ja, gdy mnie wezwał kanclerz, na ojcu twym wywierać jej nie chciała, nie mogła. Posłuszną byłam prawu!

Anna miała łzy na oczach, a na piersiach paliła ją chusta, krwią ojca zboczona. Zwolna dobyła ją i rozłożyła na kolanach.

— We krwi swej zmoczoną kazał mi oddać nieboszczyk — rzekła.

— Połóż ją u stóp ołtarza, dziecko moje — odpowiedziała kasztelanowa — i Bogu przekaz ukaranie! Twoim obowiązkiem modlić się za rodzica.

Długo tak jeszcze mówiła kasztelanowa, a Anusia czuła w sobie uspokojenie wielkie. Zstępował na nią spokój, jakiego nigdy nie doznawała wprzód, łzy płynące ulgę jej przynosiły, i na sercu nie było tak ciężko.

Gdy potem pochyliwszy się do kolan kasztelanowej, pożegnawszy ją, powróciła do Włodkowej, ta ledwie poznać mogła swoją Anusię, tak się w niej zmieniły myśli i uczucia. Cud się stał wielki.

Włodkowa przyznała się jej, dokąd z nią wybrała się w drogę, co Anna obojętnie przyjęła.

— Widzicie, — rzekła, potrząsając grubym kirem, którym była okryta — żałoba się nie godzi z weselem... Nie myślcie o tem, a gdy będzie można, zawieźcie mnie zpowrotem do Krakowa. Ze sługami ojcowskimi widzieć się potrzebuję.

Nie przyznała się siostrze, iż zemstę zdała na Lutzickiego, a teraz już jej nie pragnęła — Bóg skutecznie miał pomścić krew Samuela.

Następnych dni Włodkowa poznać dawniej namiętnej dziewczyny nie mogła; stała się smutną a łagodną. Pytała, czy nie chora, — odpowiedziała, że owszem lepiej, niż kiedy, się czuje, a prosiła się do

kościół, do którego Włódkowa chodzić dawno była odwykła.

Przed ludźmi utyskiwała wdowa.

— Jaką ja mam biedę z tem dziewczęciem, bo się jak paw ogon mieni w oczach. Naraz złagodnieje jak baranek, to znów sroży się i wyrывa, jak wilczyca. Teraz na nią przypadło nabożeństwo i płacz... modli się i lży leje. Długo to tego będzie?

Z podziwieniem Włódkowej pobożność i lży trwały; z niemi powróciła do Krakowa, do którego Anusia bardzo pragnęła dostać się co najprędzej.

Przyjechały wieczorem późnym i natychmiast Anna upominała się o Luzickiego. ale jej powiedziano, że go w Krakowie pod ten czas nie było. Czekać więc musiała. ale codziennie słała pytać o niego i za każdym razem jej powiadano:

— Niema go jeszcze.

Włódkowa, śledząc ruch jej każdy, nie mogła nie zrozumieć.

— A co ci tak pilno Luzickiego widzieć? — zapytała.

— Stary sługa ojcowski, — odparła, oczy spuszcza-
jąc, Anusia — radabym go zobaczyć. Dawałam mu różne zlecenia... nie wiem, czy je spełnił!

O Luzickiego tymczasem trudno się było dowiedzieć. Mówili znajomi, między innymi Borowski, który zawsze się tu chronił, że nagle wyjechał i nie mówił, kiedy powróci.

Nie śmiało dziewczę zapytać się go o Wojtaszka długo... naostatek raz wyszeptwała nieśmiało:

— A Wojtaszka nie widziałeś?

— Nie — rzekł Borowski. — Widywałem go chodzącego z Luzickim, bo się coś bardzo z sobą pokumali, a to mi było przykro... potem Luzicki gdzieś pojechał, a o Wojtaszku ani słyhu.

— Popytajże o niego na zamku, — dodała Anusia — masz tam pewnie znajomych.

Powlókł się tegoż dnia Borowski i powrócił zdy-

szany, bo mu z nogi obrzękami bardzo ciężko było chodzić. Zameldował się zaraz do panienki.

— Chodziłem na zamek dowiedzieć się o Wojtaszka, — rzekł, kłaniając się — ale ani muzycy, jego towarzysze, ani nikt we dworze nie wie o nim, a tak mało dbają o Wojtaszka, że nawet nie dochodzą, gdzie się podział. Ostatnimi czasy śpiewał dużo na mieście i wesół był, a dobrej myśli. Mówią, że pana Cobara prosił, aby go ode dworu puścili, że chciał sobie gdzie indziej szukać szczęścia. Pewnie, nie doczekawszy się odpowiedzi, wziął nogi za pas i uszedł.

Ruszył ramionami Borowski.

— Niema się co o przecherę troszczyć... nie zginie to paskudztwo.

I splunął.

Czas upływał, a Luzickiego jak nie było, tak nie było.

Już pod zimę, gdy znowu Anusia przyjechała z Włodkową do Krakowa, a zapytała o niego, powiedziano jej, że nie wrócił. Domyślano się, że do stryjecznego na Podole się wyniósł.

Wtem jednego dnia, na chudym koniu, w opończy wydartej i połatanej, zjawił się Luzicki, ale zarosły, z brodą siwą, zapuszczoną, że go ledwie poznali.

Borowski, który stał w podwórzu, zawołał na niego.

— A toś się wyniósł! panienka się ustawicznie o ciebie dowiadywała... co się z tobą stało? Myśmy już tylko za waszeci na podzwonne nie dali...

— Panienka jest tu? — zapytał Luzicki.

— A jest — rzekł Borowski. — Odziej się i idź do niej, bo oczy za tobą wypatrzyła.

Niespokojny poszedł zaraz konia postawić Luzicki, potem się przebrał, ale ubogo, bo mało co snąć miał i pośpieszył do Anny.

Zobaczywszy go, dziewczę z krzykiem podbiegło ku niemu.

— A, Luzicki mój! Com ja się o ciebie natroskała... gdzieś ty był? Co się z tobą stało? Ani słuchu o tobie... a ja miałam tak pilną do ciebie potrzebę.

Obejrzał się stary niespokojnie dokoła i obie ręce przyłożywszy do ust, stłumionym rzekł głosem:

— Rozkaz spełniony!

Anna uderzyła w ręce.

— Co mówisz?

Pochylił głowę na piersi stary i powtórzył:

— Spełniono, coście przykazali. Niema go... niema...

Zaczerwieniła się i pobladła Anna.

— A mój Boże? — zawołała, lecz dokończyć nie miała siły.

Zdziwiony Luzicki postrzegł, że zamiast się uradować, zasmuciła się mocno. Sądził, że się ulękła może.

— Nikt nie wie o niczem, — rzekł — ja nawet... nie wiem. Dosyć, że go niema. Jak w wodę wpadł, bo może w istocie wszedł w wodę, kto to może wiedzieć... albo go może gdzie napilego w browarze zasiekli i precz wyrzucili, bo pił dużo... albo... wywędrował na drugi świat, sobie wiadomym tylko gościńcem. Dosyć, że ani śladu po nim. Na zamku coś w węzłkach po nim pozostało, chudoby niewiele, to, słyszę, muzykanci rozdzielili pomiędzy siebie, bo się już powrotu nie spodziewają. Lutnię po nim znaleźli pono u Krzaczkowej w gospodzie na ławie. Skąd się ona tam wzięła, — kto to wiedzieć może? Ja nie wiem, ja nie wiem, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie.

Annie pytania na ustach zamarły. słuchała drżąca. Luzicki zamilkł, odchrząknął i raz jeszcze potwierdził:

— Dosyć, że się już po świecie włóczyć nie będzie. Nóżki całuję!

I wyszedł nagle.

Cheiała go jeszcze rozpytywać Anusia następnych dni, wołała do siebie, ale więcej o niczem dowiedzieć się nie mogła, prócz, że Wojtaszka na świecie nie było.

